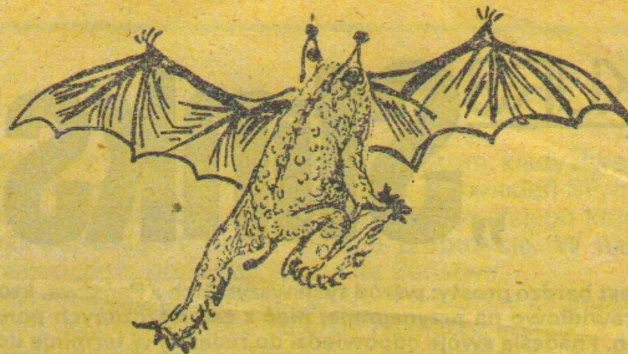
Tygodnik „EX PRESS" nr 21, dn. 90.05.26.



Rys. WESŁAW GALIŃSKI

The Exmoor Monster

POTWÓR Z EXMOOR

Już w trakcie pierwszych oględzin martwej owcy, angielski farmer Mike Williams uświadomił sobie, że padła ona ofiarą napaści niezwykłego stwora. Owca miała rozdarty kark, odgryzione lewe ucho, a to co z niej zostało, przypominało resztki rozdeptanego motyla. Poza tym drapieżnik wyssał ze swej ofiary wszystką krew.

— Zawołałem ojca i innych farmerów. Nikt przedtem nie widział, by ktoś zabijał owcę w ten sposób — powiedział Mike Williams reporterowi agencji Reutera. Tajemniczy napastnik rozerwał owcę tak szybko, że zwierzę nawet nie zdawało sobie sprawy z napaści.

Ta ofiara nie była jednak pierwszą. W Exmoor, rzadko odwiedzanym rejonie zachodniej Anglii, leżącym 320 km na zachód od Londynu, od 1983 r. wydarzyło się ponad 100 tego rodzaju wypadków. Istnieje tutaj kilkanaście gospodarstw farmerskich oddalonych znacznie jedno od drugiego.

Pierwsza fala tych wydarzeń wywołała panikę. Ani myśliwym, ani wypróbowanym tropicielom, ba — nawet jednostkom piechoty morskiej, które przeczesały teren o powierzchni 670 km kw. — nie udało się natrafić na „potwora z Exmoor". Mieszkaniec — Nigel Breerly, który niedawno napisał książkę „Nocny łowca" wspomina:

„... ***Nikt z nas nie wiedział, jak się mamy do tego zabrać. Jeden zabrał ze sobą siatkę na motyle, inny — znany specjalista od chwytania dzikich psów — zabrał ze sobą potężny połeć mięsa...***"

Wszyscy mieszkańcy Exmoor przypomnieli sobie psa Baskerville'ów i doszli do wniosku, że mają do czynienia z anormalnie wielkim psem, który zadomowił się w ich krainie. Jednakże pozostawione przezeń ślady, sposób atakowania ofiary z góry i groźny ryk, który słyszeli Breerly'owie i ich towarzysze nasunęły im przypuszczenie, że mają do czynienia z pumą. Słyszałem ten ryk dwa razy — mówi Mike Williams, który mieszka w tych stronach od końca lat 50. — od którego włosy stają dęba na głowie ze strachu. To słyszeli także inni farmerzy — a niektórzy twierdzą, że nawet widzieli drapieżnika, a nawet szli po jego śladach.

Jeden z nich — Roy Brummer, kierownik szkółki strzeleckiej zobaczył pewnego ranka, jak niedaleko jego domu niezwykły stwór zeskoczył ze skarpy na drogę i skrył się w gęstwinie. — Był wielki jak wschodnioeuropejski owczarek, tyle że miał cienkie nogi. Wydawało mi się, że jest silny i zwrotny. Umaszczenie miał żółtobrązowe, ale w mroku trudno to było dokładnie ustalić — powiedział Brummer[1] Według jego rozeznania, była to puma. Strefa występowania tych drapieżników rozciąga się od pł-zach. Kanady aż do Ameryki Południowej. I chociaż pumy nie występują w Wielkiej Brytanii, Breerly twierdzi, że jakaś puma uciekła z prywatnego rezerwatu i od paru lat tuła się po kraju.[2]

Oczywiście istnieją także przeciwstawne hipotezy. Dug Richarson — główny specjalista ds. kotowatych w londyńskim ZOO — podchodzi sceptycznie do relacji świadków. Twierdzi, że pumy wyją bardzo specyficznie, podobnie jak lisy i koty domowe. Poza tym nie stwierdzono przypadku, aby pumy wysysały ze swych ofiar krew. Drapieżniki z rodziny kotowatych w czasie chodzenia nie wysuwają pazurów, natomiast „exmoorski potwór" w czasie chodu wysuwa je, co widać po jego śladach...

Przypisy: [1]Opis „potwora" jest nader podobny do opisu afrykańskiego tajemniczego zwierzęcia, zwanego przez Somalijczyków „mngwa" lub „nunda" (por. Bernard Huevelmans „Na tropie nieznanych zwierząt). — przyp. tłum.

[2] temat „pumy na wolności" jest w lokalnej prasie brytyjskiej wymienny z tematem „Nessie na wolności" — zwłaszcza w sezonie ogórkowym — przyp. tłum.

Robert Leśniakiewicz

BURZA NA SATURNIE

Krążący w przestrzeni kosmicznej teleskop „**Hubble**" przekazał niedawno sensacyjne zdjęcia potężnej burzy szalejącej w atmosferze Saturna. Zdaniem planetologa **Andrew Ingersolla** z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, jest to obecnie największe zjawisko atmosferyczne w Systemie Słonecznym. Po raz ostatni coś takiego zarejestrowano również na Saturnie w roku 1933. Burza rozpoczęła się od „niewielkiej" (w rzeczywistości trzykrotnie większej od Ziemi) białej plamy zaobserwowanej w atmosferze Saturna we wrześniu 1990 roku. Plama ta następnie powiększała się, a pod koniec roku chmury burzowe złożone - jak przypuszczają uczeni - głównie z kryształków amoniaku okrążyły całą planetę pierścieniem o szerokości 9 650 kilometrów. Na zdjęciu widać wyraźnie potężne zawirowania i po skręcane pasma chmur. Szybkość huraganu oceniano na ok. 1600 km/godz. Jak wiadomo Saturn podobnie zresztą jak i Jowisz, nie ma stałej powierzchni, gdyż jest w istocie olbrzymią kulą złożoną z cieczy i gazów.

(wk) *Ta biała plama na powierzchni Saturna to gigantyczne chmury burzowe.*

NAJGŁOŚNIEJSZY DŹWIĘK

W jednym z laboratoriów amerykańskich grupie naukowców udało się uzyskać najgłośniejszy dźwięk, jaki dotychczas zmierzono na świecie. Dźwięk ten wydobywa się ze swego rodzaju trąby wykonanej z betonu i najtwardszych rodzajów stali. Uzyskany hałas osiągnął siłę 210 decybeli. Wspomnianą trąbę zbudowano nie tylko dla pobicia światowego rekordu w dziedzinie hałasu. Cała sprawa związana jest również z doświadczeniami natury wojskowej. Okazuje się, że za pomocą takiej trąby można przebijać na wylot najgrubsze pancerze czołgowe. Być może więc Amerykanie są na dobrej drodze do wynalezienia nowego rodzaju broni np. działa dźwiękowego. (wk)

Polubić SFINKSa

Z prawdziwą radością odnotowałem pojawienie się Waszego czasopisma na naszym rynku prasowym. Dwa pierwsze numery przeczytałem z zapartym tchem i od deski do deski. Bardzo się cieszę, że ruszyliście kilka tematów z dziedzin, które były wyklęte przez ortodoksyjną naukę — UFO, Trójkąt Bermudzki, itd (...) Poleciłem „Sfinksa" wszystkim moim znajomym w kraju i za granicą — m.in. we Włoszech CSFR i ZSRR (...) W „Sfinksie" brakuje mi tylko jednej rzeczy, a mianowicie — koloru... Wszystko inne na 5+. To nie jest tylko moja opinia... Kończę życząc Wam następnych, równie udanych numerów Waszego czasopisma.

ROBERT LEŚNIAKIEWICZ z Zakopanego.

* * *

Jestem członkiem sekcji psychotroniki w Stowarzyszeniu Radiestetów w Gliwicach. Pierwszy numer „Sfinksa" kupiłam z ciekawości, pewnie jak większość ludzi. Drugi już z potrzeby. Wspaniałe czasopismo! W drugim numerze został zamieszczony artykuł p. E. Janisławskiej o biżuterii psionicznej wykonywanej przez p. Krzysztofa Bułłyszko. Pisałam do p. Janisławskiej z prośbą o adres p. Krzysztofa. Adres ten otrzymałam, udostępniam go w Stowarzyszeniu i bardzo proszę w moim imieniu podziękować pani Janisławskiej.

Teraz parę słów o „Sfinksie". Chciałabym go zaprenumerować... Bardzo dziękuję za dobre artykuły, zawartą w nich wiedzę i relaks.

BEATA MAKOWSKA z Gliwic

* * *

Jesteście wspaniali! Przeczytałam dwa numery „Sfinksa" i jestem pełna uznania dla tematyki, którą podejmujecie. Macie we mnie już stałą i wierną czytelniczkę. Z najlepszymi życzeniami na przyszłość

MAŁGORZATA ŻYDEK z Lublina.

* * *

Pismo wywarło na mnie ogromne wrażenie. Mimo kryzysowej szaty graficznej, treść jest wspaniała. Trudno tak na gorąco precyzyjnie wszystko skomentować. Na pewno jeszcze napiszę do Was... Z poważaniem

RYSZARD GRAJEK z Golubia Dobrzynia.

* * *

Życię Ci „Sfinksie", abyś nieprzerwanie szerzył wśród ludzi chęć do zgłębiania tajemnic świata, i wyrwał ją z tego marazmu życia na Ziemi na szerokie wody Kosmosu. Być może Kosmos właśnie pozwoli ludzkości odejść od idiotycznych zbrojeń skierowanych przeciwko sobie.
Z poważaniem

CZESŁAWA POPIELARSKA z Tarchomina.

(Od redakcji: Ponieważ wiele osób zwraca się do nas z pytaniem o prenumeratę „Sfinksa", odpowiadamy z żalem, że póki co, jest to niestety niemożliwe. Może od przyszłego roku...)

City Lunedì 16 aprile 2007

I Fatti

Ufo, in un anno tre avvistamenti

Tre presunti avvistamenti di Ufo sono stati registrati, nel 2006, dall'Aeronautica militare: uno a maggio e due a settembre. Sono i dati raccolti dal Reparto generale sicurezza della Forza armata. Il primo avvistamento raccolto dall'Aeronautica, il 3 maggio, alle 8, all'isola di Procida. Gli altri due a settembre, nel palermitano. (ANSA)

La Sicilia - Ragusa 18-4-07

RAGUSA

Una donna dice di avere visto un Ufo vicino casa

RAGUSA. Un ufo nel cielo di Ragusa? Dopo le recenti segnalazioni che si sono registrate negli ultimi giorni ad Agrigento, anche nel capoluogo ibleo si sono avuti dei presunti avvistamenti. Una signora, che ha chiesto di restare anonima, sarebbe la testimone oculare di un possibile avvistamento. L'episodio e' stato raccontato ieri mattina ma si riferisce alla notte tra sabato e domenica. E proprio in quella notte la signora avrebbe visto un oggetto volante non identificato.

Piu' o meno, stando al racconto della donna, si tratterebbe di un avvistamento simile a quello raccontato nei giorni scorsi da una famiglia di Agrigento e, lo scorso novembre, da un ristoratore agrigentino. Anche nel caso di Ragusa l'ufo si sarebbe presentato come una sfera dai contorni luminosi ed evanescenti, e sarebbe scesa lentamente dal cielo per posizionarsi in un'area del quartiere Ragusa Sud. "Mi sono svegliata perche' sentivo del rumore, come se piovesse – spiega la signora –. Ed allora mi sono affacciata alla finestra e, con mio grande stupore, ho visto quello che secondo me era un ufo. Una sfera, nemmeno tanto grande, luminosa e trasparente che e' scesa lentamente dall'alto per andarsi poi a fermare praticamente a pochi metri dal tetto del palazzo di fronte al mio. Erano passate le 4,30 di notte. Sono rimasta come impietrita. Dentro mi e' sembrato di scorgere delle persone, ma non ne sono sicura. Poi la sfera e' salita diventando un punto luminoso che poi e' scomparso".

MICHELE BARBAGALLO

Ciąg dalszy ze strony 13

Straszliwa – OGNISTA KULA

du struktury wewnętrznej pod wpływem zaburzenia równowagi ruchu wirowego przy jednoczesnym wysokim ciśnieniu wewnętrznym, które do spółki z siłą odśrodkową rozrywa kulę plazmy i tworzy falę uderzeniową. Tutaj wszystko zależy od tego jak wielką część energii z jak dużego pioruna liniowego zdołał przejąć tworzący się piorun kulisty. Z obserwacji wynika, że może to być zakres zaczynający się na energii porównywalnej ze zwykłą świetlówką i efektami towarzyszącymi pęknięciu bańki mydlanej, a kończący się na mocy równoważnej kilku kilogramom trotylu...

Oprócz opisanych wcześniej znane są przypadki zgruchotania pni drzew, rozrzucenia wielkiej pryzmy kamieni, wyrwania dziury w drodze, zniszczenia pieca lub komina, do którego wpadł piorun kulisty, lub całkowitego zdemolowania mieszkania. W zależności od wewnętrznych relacji energetycznych piorun ten może dostać się do zamkniętego pomieszczenia wypalając dziurę w szybie, albo wyrywając całe okno wraz z framugami...

Poparzenie popromienne — to bardzo szczególny przypadek urazu, na który rzadko zwracają uwagę badacze tego problemu. A przecież rozpędzone do ogromnych szybkości (podobnie jak w akceleratorze) cząsteczki i jony wydostające się z wnętrza pioruna, szczególnie w chwili jego rozpadu, na małych (rzędu 1—2 metrów) odległościach, zanim nie wytracą prędkości zachowują się jak promienie kanalikowe, albo jak wystrzelony śrut. Oto kilka przykładów:

Pilot samolotu Li-2: „... lecieliśmy na wysokości 3600 m. Nagle na przodzie błysnęło i spod tablicy przyrządów wyleciała kula ognia wielkości piłki nożnej... Po wylądowaniu znaleźliśmy na dziobie samolotu otwór o średnicy 8 mm, a wokół niego wiele małych dziurek..."

Pilot samolotu Ił-18: „... kula ognia wyleciała zza tablicy przyrządów... Później stwierdziliśmy, że osłona radiolokatora usiana jest drobnymi otworkami i wygląda jak sito do mąki..."

15 maja 1964 r. Liernarot, Armenia — do domu dyrektora miejscowej szkoły wpłynęła ognista kula o średnicy 10—12 cm i rozerwała się koło stołu. Dyrektor i dwaj synowie zostali ogłuszeni, a na ich ciałach, mimo że ubrania, ani bielizna nie były uszkodzone, pojawiły się niewielkie oparzenia (!).

Wołgograd, sierpień 1960 r.: „... Był deszcz i burza. Gdy weszłam do pokoju ujrzałam 1,5 metra nad podłogą i metr od siebie kulę ognistą bardzo powoli spadającą na podłogę. Kilka sekund później eksplodowała ona z takim hukiem, że z sąsiedniego pokoju wybiegli wszyscy domownicy. Na pomalowanej podłodze pojawiła się zwęglona plama o średnicy 6 cm i głębokości 5 mm, a wokół niej wiele małych, ciemnych plamek. Poczułam silny ból w nodze i pojawiła się na niej oparzelina w postaci pewnej liczby plamek o rozmiarach główki od zapałki. Były one bardzo bolesne, ale po kilku dniach znikły..." (relacja gospodyni domowej).

Żywot pioruna kulistego jest krótki, lecz intensywny. Jak każdy wir, zgodnie z prawami fizyki musi w końcu wytracić swoją energię na skutek tarcia, wypromieniowania światła i ciepła, fal akustycznych, lub rozproszyć się z powodu utraty siły spójności. Czasem więc znika bezgłośnie niczym zgaszona żarówka, a kiedy indziej na skutek narastających wewnętrznych turbulencji i zaburzeń ruchu wirowego rozrywa się z wybuchem zanim jeszcze zawarta w nim energia zdąży opaść do bezpiecznego poziomu. Znane są przypadki kiedy to człowiek swoim działaniem przyczynił się do skrócenia życia pioruna kulistego... — W sierpniu 1936 r. mieszkaniec pokoju, do którego wleciał piorun kulisty rozklepał deską nieproszonego gościa, po którym pozostał tylko swąd i trochę dymu. Innym razem dwaj chłopcy w wieku 12—13 lat napotkali toczącą się po ziemi kulę czerwono-żółtego ognia, a młodszy z nich kopnął ją nogą. Nastąpił silny wybuch, który przewrócił obydwu na ziemię. Na szczęście skończyło się to jedynie na lekkich obrażeniach.

Oba te wypadki można by skomentować dość krótko: więcej szczęścia niż rozumu!

Aby do końca zrozumieć dziwne zachowanie pioruna kulistego, należy wiedzieć o tym, że poruszające się ładunki elektryczne tworzą zawsze prąd elektryczny, który choćby tylko wirowy i zamknięty w niewielkiej przestrzeni, to jednak zawsze wytwarza pole magnetyczne i to niekiedy bardzo silne.

Tym właśnie tłumaczy się obserwowany przez wielu świadków (nauczyciel i uczniowie w klasie) przypadek „porwania" przez piorun kulisty leżącego na stole magnesu... (12.06.1950 r.).

Częste są też wypadki zakłócania pracy urządzeń radiowych spowodowane emisją fal elektromagnetycznych związaną również z prądem wirowym wewnątrz pioruna.

Ponadto warto pamiętać, że na ruch lecącego pioruna kulistego mają wpływ trzy niezależne od siebie czynniki. Pierwszy z nich to pole magnetyczne — stąd ruch w kierunku dużych przedmiotów z żelaza i stali, oraz wzdłuż przewodów elektrycznych. Dalej: ruchy powietrza — wykorzystując zawirowania powstające za idącym lub uciekającym człowiekiem piorun kulisty może poruszać się w jego stronę, a nawet go ścigać... Siły elektrostatyczne — pod ich wpływem piorun lecąc czasem pod wiatr może na skutek przyciągania zbliżyć się do obserwatora, na którego ubraniu zgromadził się odpowiednio duży ładunek elektryczny o przeciwnym niż piorun znaku.

Jak więc widać piorun kulisty jest zjawiskiem może nie tyle tajemniczym, co raczej zupełnie nieobliczalnym. Wręcz oszałamiającym ilością i różnorodnością swoich form i wcieleń. W przypadku spotkania się z nim nigdy nie można wiedzieć, czy owa ognista kulka ma w danej chwili siłę piłeczki pingpongowej, czy granatu... I dlatego lepiej jest zawsze trzymać się od niego z daleka. Gdyby zaś okazało się to niemożliwe należy delikatnie odpychać go od siebie długim, nieprzewodzącym prądu przedmiotem, lub w miarę możliwości suchym patykiem lub gałęzią.

Konrad Tomasz Lewandowski

Czy wiecie, że...



☆ ☆ ☆

Uzdrawiacz z Filipin, Terte, przyjmuje swych chorych w brudnej szopie usytuowanej wysoko w górach. Wykonywane przez niego bezkrwawe operacje trwają zaledwie... 15 sekund.

Jean Baptiste von Helmout twierdził, że ludzie wytwarzają pole magnetyczne, którym można w sposób kontrolowany sterować. Był on też zwolennikiem poglądu, że niektórzy posiadają zdolność wpływania na pole magnetyczne innych osób i że na tym opiera się szczególna moc uzdrowicieli posługujących się dotykiem.

Haridas, sławny niegdyś fakir indyjski, potrafił sam siebie pogrążyć w rodzaj pozornej śmierci. Zakopywano go w tym stanie do grobu na kilka, a nawet kilkadziesiąt dni.

przywykła — doznała jak gdyby śmiertelnego szoku kulturowego. Kamala natomiast dość dobrze przystosowała się do nowych warunków. Po krótkim okresie adaptacji zaczęła chodzić w pozycji wyprostowanej, polubiła słodycze i sól, nie miała nic przeciwko noszeniu ubrania, nauczyła się płakać i śmiać. Mimo to dziewczynka—wilczyca zmarła w wieku 17

O

WOJCIECH KMITA

lat. Do końca pozostała na poziomie osoby umysłowo niedorozwiniętej. Jej słownictwo nie wykraczało poza 50 wyrazów. Aż do śmierci nie pozbyła się jednego przyzwyczajenia: natychmiastowej ucieczki na czworakach w jakiejkolwiek sytuacji stresowej.

Z innym przypadkiem tego typu spotkał się francuski badacz przyrody, Jean-Claude Armen. Utrzymywał on, że w 1960 roku, na obszarach przygranicznych między Saharą Hiszpańską i Mauretanią widział pośród stada gazeli długowłosego, niezmiernie chudego i całkiem nagiego człowieka. Podjęta przez niego próba obejrzenia człowieka nie powiodła się — stado spłoszyło się i uciekło, a wraz z nim owa ludzka istota. Armen nie poprzestał na tych tłumaczeniach i wybrał się na poszukiwania. Udało mu się jeszcze kilkakrotnie przez dłuższy czas obserwować „chłopca-gazelę".

Twierdził, że chłopiec biegał wprawdzie normalnie na nogach, ale silnymi, dalekimi skokami, podobnie jak to robi lekkoatleta w czasie trójskoku. Niekiedy chłopak uwieszał się u szyi któregoś ze zwierząt i dawał się unosić, odbijając się stopami od ziemi. Takie współdziałanie Armen obserwował jedynie podczas biegów na dalszą odległość. Poza tym chłopak odżywiał się tak jak gazele — trawą i liśćmi. Niestety, o dalszych losach „człowieka-gazeli" nic nie wiadomo. Nigdy nie został schwytany, nigdy też nie wytropiono go ponownie.

Opisane powyżej przypadki dotyczyły albo czasów dość odległych, albo odległych kręgów kulturowych. A czy przypadki zdziczenia dzieci mogą mieć miejsce także teraz, w wysoko cywilizowanej Europie? Okazuje się, że mają i są nawet dość liczne. Jednym z najbardziej bulwersujących był przypadek „dziecka-psa", jaki odkryto przed dwoma laty w Republice Federalnej Niemiec.

Kiedy mający 3 lata i 4 miesiące **Horst Reinhardt** został przywieziony 5 marca 1988 roku do szpitala w Wuppertal-Barmen pod Duesseldorfem musiał się uczyć wszystkiego, aby żyć jak ludzkie dziecko. Spanie w łóżeczku, chodzenie na dwóch nogach, a nie na czworakach, trzymanie łyżeczki, kąpiel — żadna z tych podstawowych rzeczy nie należała do nawyków tego chłopca. Przypadkowo odkryty w jednym z domów w mieście Metmann Horst, zdany na opiekę Asty, suki z rasy owczarków niemieckich, węszył i skowyczał jak ona. W rodzinnym domu wegetował na podłodze pełnej ekskrementów i resztek jedzenia, którymi pies i dziecko solidarnie się dzielili. Tylko twarz i ręce małego były czyste, gdyż suka je lizała.

Przywiezione do szpitala dziecko przeżywało ogromny dramat z dala od psa, który go kochał. Nie mógł się przystosować do nowej sytuacji na tyle, że decyzją prokuratora psa musiano sprowadzić do szpitalnej sali. Horsta wcale nie interesowało łóżeczko pełne zabawek, kładł się z psem na podłodze niedaleko okna i dopiero wtedy był szczęśliwy.

Rodzicami chłopca byli 30-letni Karl i o dwa lata starsza Jutta. Poznali się w 1982 roku, a w kilka miesięcy po urodzeniu Horsta zawarli związek małżeński. Początkowo wszystko w rodzinie układało się jak najlepiej. Później okazało się, że Jutta cierpi na depresję i manię samobójczą (wyskoczyła raz oknem). Następnie Karl stracił pracę (był czeladnikiem rzeźniczym) i w mieszkaniu zagnieździła się bieda. Chętnie oboje wymykali się z mieszkania pozostawiając dziecko same bez opieki.

„Małemu niczego nie brakowało" — powiedzieli potem w sądzie. Dostawali 175 marek tygodniowo z pomocy społecznej. Kupowali za to kilogram mięsa dla psa oraz kaszkę, mleko i banany dla Horsta. To, że dziecko spędzało dnie i noce na brudnym kocu rozesłanym na podłodze, wśród odchodów własnych i psa wcale ich nie raziło. **„Horst nie był nieszczęśliwy** — wyjaśniali. — **Asta była dla niego taka dobra**". W efekcie rodzice chłopca stali się nieczułymi zwierzętami, a suka prawdziwą matką.

„Sytuacja musiała się stopniowo pogarszać od 1984 roku — twierdził prokurator Rosenbaum. — **Zachowanie Horsta dowodziło, że od dawna nie troszczono się o niego, że z rodzicami nic go nie łączyło".** Chłopak był mały i chudy, ważył zaledwie 12 kilogramów i miał 39 centymetrów wzrostu. A przede wszystkim, jak stwierdził przed sądem lekarz, był opóźniony w rozwoju psychicznym. Oddany początkowo do domu małego dziecka nie był w stanie się zaadoptować i ostatecznie wylądował w szpitalu. Dziś Horst już niewiele pamięta z wydarzeń sprzed 2 lat, jest prawie normalnym dzieckiem. Rodzice zostali pozbawieni praw do niego. ■

Czy egipscy faraonowie chorowali na AIDS?



Czy AIDS, nazywany „dżumą XX wieku", istniał już przed pięcioma tysiącami lat? Czy jest możliwe, że już egipscy faraonowie umierali na tę straszliwą chorobę? Holenderscy i skandynawscy naukowcy nie wykluczają takiej hipotezy, a słynne British Museum zezwoliło im na przeprowadzenie odpowiednich testów na liczącej sobie 5,5 tysiąca lat egipskiej mumii. Stosując najnowocześniejsze techniki badań genetycznych naukowcy postarają się ustalić ostateczną przyczynę śmierci dostojnika, spoczywającego obecnie w skrzyni nr 32.754 londyńskiego muzeum.

„Gdyby udało nam się natrafić na ślad wirusa AIDS — powiedział jeden z badaczy, dr Svante Paeaebo — moglibyśmy przestudiować, w jaki sposób wirus tej straszliwej choroby zmieniał się i jakim podlegał modyfikacjom na przestrzeni tych kilku tysiącleci. Być może to w jakiś sposób pomogłoby w opracowaniu skutecznego przeciwdziałania przeciwko AIDS". British Museum posiada jeszcze 78 innych, pochodzących również z Egiptu mumii. I one mogłyby zostać udostępnione naukowcom, ale pod jednym warunkiem. „Nie chcielibyśmy stracić wszystkich mumii — orzekł muzealny egiptolog, dr Vivian Davies. — Ale gdyby próby doprowadziły do wyodrębnienia szczepu AIDS i miałoby to pomóc ludzkości, nie stawialibyśmy naukowcom żadnych ograniczeń".

(wk)

ma cinema cinema cinema cinema cinema cinema cinema cinema cinema ciner

Siete degli appassionati di X-Files?

Non mi ha stupita di Sarah Ciriaci

Allora avrete senz'altro notato che nello studio dell'agente Fox Mulder c'è un poster con la foto di un Ufo e la scritta «I want to believe». Ebbene, ***I want to believe*** è diventato il titolo del più grande happening notturno dedicato al culto degli alieni. L'appuntamento, anzi, l'«incontro ravvicinato», è previsto per le ore 22.00 dell'8 maggio a Milano, presso i Magazzini Generali di via Pietrasanta 14.

Coinvolti nell'iniziativa: esponenti del Centro Ufologico Nazionale, fra cui il sociologo e giornalista Roberto Pinotti, «contattati» Ufo che racconteranno le loro esperienze, alcuni detective del mistero come Fabio Gariani (redattore del mensile *X-Files*) e Alfredo Lissoni, e poi piloti, scienziati, artisti. Potrete rivedere, su megascreen, la famosa autopsia dell'alieno più molti altri video-documenti inediti.

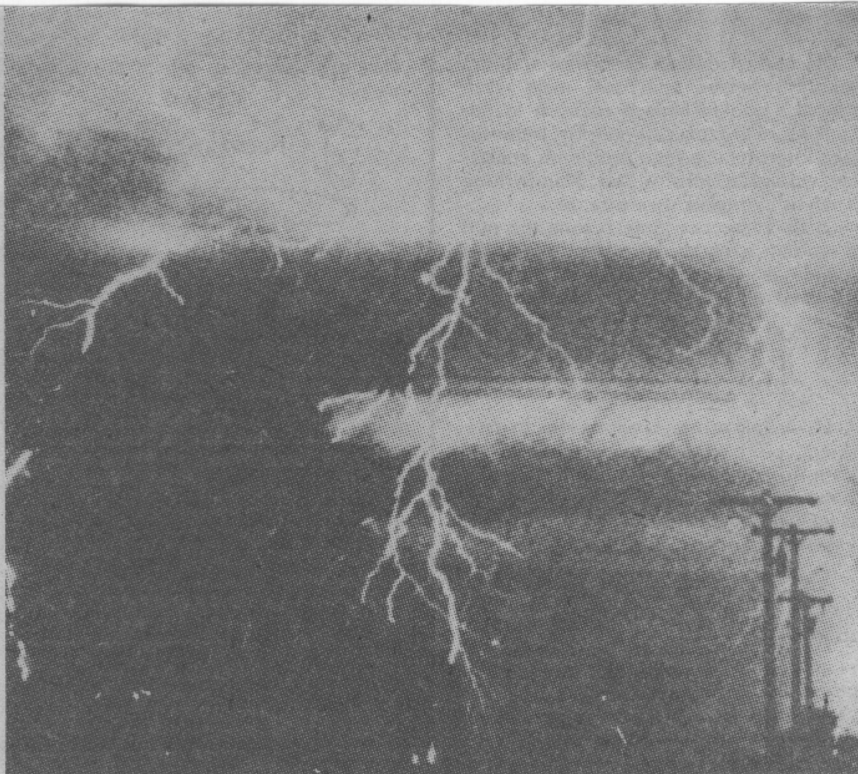
Nel corso della serata saranno presentate la nuova serie televisiva (che inizierà a settembre su Italia 1) e le nuove videocassette concepite appositamente per l'Home-Video dalla la 20th Century Fox Television.

→

COSMOPOLITAN 5-96

Zagadka PIORUNA KULISTEGO

Zachodni Kaukaz, wysokość 3900 metrów, 17 sierpnia 1978 r., namiot alpinistów; mówi jeden z tych, którzy przeżyli: „Nagle obudziłem się, gdyż wydawało mi się, że do namiotu coś wpadło. Wysunąłem głowę ze śpiwora i oniemiałem. Na wysokości metra leciała jasno żółta kula ognista wielkości piłki tenisowej. Za moment wpadła do śpiwora Aleksego, który krzyknął z bólu. Chwilę później piorun kulisty wyleciał stamtąd i wpadł do śpiwora sąsiada — znów rozległ się przeraźliwy krzyk. Ja byłem następny... Ból był tak silny, że na moment straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem „to" ciągle jeszcze znajdowało się w namiocie co chwila „nawiedzając" śpiwór któregoś z nas. Za każdym razem rozlegały się rozpaczliwe krzyki bólu i przerażenia. Po drugim zetknięciu z piorunem znowu straciłem przytomność, tym razem chyba na dłużej, bo kiedy doszedłem do siebie ognistej kuli już nie było w namiocie. Wszyscy mieliśmy rany jakby poodrywano nam ciało od kości... Aleksy zginął na miejscu".



A Guess for the Fireball - A Hostile Ball of Fire.

Straszliwa — OGNISTA KULA

W WIERZENIACH LUDÓW BAŁKAŃSKICH, A SZCZEGÓLNIE MIESZKAŃCÓW GÓRZYSTYCH REJONÓW DZISIEJSZEJ JUGOSŁAWII PIORUN KULISTY UWAŻANY JEST ZA WĘDROWNĄ FORMĘ WAMPIRA I Z NIM TEŻ UTOŻSAMIANY. Motyw ten podchwycony został przez część autorów i reżyserów filmów grozy, w których możemy niekiedy zobaczyć jak pragnący dostać się do swojej, przebywającej w trudno dostępnym miejscu ofiary, demon przybiera postać niewielkiej świecącej kuli. Natomiast przytoczony powyżej przypadek potwierdza, że wspomniane podania i gawędy ludowe musiały powstać nie bez pewnego istotnego związku z rzeczywistością...

Jak więc widać, to stosunkowo rzadkie zjawisko atmosferyczne trwale i jednoznacznie wpisało się w społeczną świadomość zbiorową. I nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę kilka innych spektakularnych przypadków:

27 lipca 1789 r., jedno z francuskich miasteczek — „małe słońce" wielkości kuli armatniej wpadło do sali budynku, w której znajdowało się ok. 600 ludzi. W wyniku jego eksplozji 10 osób zostało zabitych, a 70 odniosło poważne rany".

11 lipca 1809 r., również Francja — „ogniste widmo" w kościele Cnateneuf le Mousterie zabiło 9 ludzi i poraniło 82.

18 lipiec 1934 r., w poczekalni cmentarza pod Leningradem piorun kulisty zabił 3 osoby, a 10 dalszych ciężko poparzył.

Do historii nauki piorun kulisty wchodzi w tym samym stylu — pierwsza naukowo udokumentowana obserwacja tego zajwiska to śmierć współpracownika M. Łomonosowa profesora G. Richmana w 1753 r. Zginął on na miejscu trafiony w czoło „kłębem ognia wielkości pięści" — piorun wyleciał z pionowego żelaznego pręta, którego jeden koniec w czasie burzy, w celu dokonania pewnych pomiarów, wysunięto ponad dach budynku. Ponadto lekko poparzony został jeden z asystentów.

NA SZCZĘŚCIE, NIE WSZYSTKIE PRZYPADKI SPOTKANIA Z PIORUNEM KULISTYM MAJĄ AŻ TAK TRAGICZNY LUB DRAMATYCZNY FINAŁ. Bywa że nawet dotknięcie, albo wręcz wybuch pioruna w bezpośredniej bliskości obserwatora nie wyrządza mu jakiejkolwiek krzywdy. Jeśli zaś dodać do tego fakt dużej rzadkości omawianego zjawiska, (przeciętnie 1 osoba na 50 ma zaledwie jeden raz w życiu szansę jego ujrzenia...) to należy obiektywnie stwierdzić, że zagrożenie stwarzane przez pioruny kuliste jest znikomo małe i absolutnie nie daje się porównać ze stale grożącym nam niebezpieczeństwem potrącenia przez samochód, lub poturbowania w wyniku potknięcia i upadku ze schodów...

Ale gdy mamy już do czynienia z piorunem kulistym, to co sprawia, że aż tak różne mogą być skutki tego spotkania?

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie należy uważnie przyjrzeć się samemu piorunowi, warunkom w jakich powstaje i poszczególnym składającym się na niego zjawiskom fizycznym.

Czym więc jest, jak się zachowuje i jak wygląda piorun kulisty? Jego wyraźny obraz

wyłania się z tysięcy przeprowadzonych na całym świecie obserwacji — jest to kula o średnicy 30—40 cm, choć obserwowane są czasem formy mniejsze (rzędu 2—5 cm) lub większe (do 1 lub kilku metrów), świecąca ostrym biało-żółtawym światłem (czasami niebieskim lub czerwonym), poruszająca się z prędkością ok. 2 m/sek i wydająca przy tym charakterystyczny dźwięk przypominający skwierczenie lub szelest celofanowej folii. Niektórzy badacze rozróżniają pioruny kuliste swobodne (o gęstości zbliżonej do gęstości powietrza) — to te latające, oraz pioruny osiadłe (wyraźnie cięższe od powietrza), mające tendencję do toczenia się po ziemi lub nieruchomego trwania w jednym miejscu — mogą wówczas spalić podłoże, na którym się znajdują.

Czas „życia" waha się przeważnie od kilku do kilkunastu sekund, nigdy nie przekraczając minuty. Istnienie swoje kończą albo bezszelestnie, albo silną, czasami groźną w skutkach eksplozją. Przyczyną tego zróżnicowania postaram się wyjaśnić nieco dalej.

NAJCZĘŚCIEJ POWSTAJĄ PODCZAS SILNYCH BURZ Z DUŻĄ ILOŚCIĄ POTĘŻNYCH WYŁADOWAŃ ATMOSFERYCZNYCH. Czasami zaś mogą powstawać w wyniku przeskoku iskry elektrycznej pomiędzy samymi chmurami na dużej wysokości i wtedy po opadnięciu na ziemię pojawiają się tuż nad jej powierzchnią niekiedy przy bardzo ładnej pogodzie...

Teorie, w których próbuje się wyjaśniać narodziny i budowę wewnętrzną pioruna kulistego można by z grubsza podzielić na trzy grupy: chemiczne, jądrowe i fizyczno-plazmowe. Pierwsza z nich zakłada, iż w warunkach panujących wewnątrz kanału iskrowego wyładowania atmosferycznego (błyskawicy), to jest w temperaturze od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy stopni i dużego ciśnienia, następuje „zapalenie się" samego powietrza, a piorun kulisty jest lokalnym „pożarem" atmosfery, miejscem, w którym następuje spalenie azotu w tlenie. Teoria ta jednak w żaden sposób nie tłumaczy kulistości kształtu pioruna, ani też wielu jego specyficznych własności. Analogiczna do niej jest teoria jądrowa, w której zakłada się, że pod wpływem wysokich napięć (miliony woltów) pojawiających się z chwilą zaistnienia zwykłego pioruna liniowego zostaje zapoczątkowana jakaś bliżej nie określona reakcja jądrowa...

Aż skóra cierpnie kiedy pomyśli się, że to przypuszczenie mogłoby okazać się słuszne! Jednak ze względu na niedoskonałości, takie same jak w przypadku koncepcji chemicznej, oraz na realnie niewielkie szanse na to, aby możliwe było skupienie się w jednym miejscu tak olbrzymiej, potrzebnej do zapoczątkowania przemiany jądrowej energii — należy stwierdzić, że teoria „latającego Czarnobyla" raczej nie wchodzi w rachubę.

Natomiast całkiem inaczej przedstawia się sprawa z teorią mówiącą o plazmowej strukturze pioruna kulistego i jego czysto fizycznym charakterze. Według niej piorun kulisty jest to obłok plazmy, czyli gazu, którego cząsteczki pod wpływem wysokiej temperatury lub dużych napięć uległy rozpadowi na obdarzone ujemnym ładunkiem elektrycznym elektrony i dodatnie jony. Aby lepiej to wszystko zrozumieć należy uważniej przyjrzeć się zwykłemu piorunowi burzowemu, a dokładniej typowemu świetlistemu „zygzakowi", czyli błyskawicy. Powstaje on w momencie kiedy na skutek przemieszczania się i skupiania naładowanych elektrycznie kropelek wody i kryształków lodu w chmurze, oraz wychwytywania przez nią wolnych elektronów z powietrza, zgromadzi się w niej odpowiednio duży ładunek ujemny (nadmiar elektronów). Towarzyszy mu zawsze dodatni ładunek (brak elektronów) na znajdującym się pod chmurą obszarze ziemi. Pojawia się wówczas dążenie obydwu grup ładunków do połączenia i wzajemnej neutralizacji. I wtedy, gdy powstająca różnica potencjałów przekroczy izolacyjne możliwości znajdującej się między chmurą a ziemią warstwy powietrza następuje jej „przebicie", zaś w miejscu, w którym to nastąpiło powstaje właśnie ta smuga silnie świecącego, rozgrzanego i zjonizowanego powietrza. Wzdłuż niej jak po przewodzie przemieszcza się z góry na dół zebrany w chmurze „pakiet" elektronów...

Na ten moment powinniśmy zwrócić teraz baczną uwagę — oto leci ku ziemi z szybkością 10% prędkości światła (30 tys. km/sek.) otoczony na skutek zjawiska indukcji warstwą dodatnich jonów ów „pakiet", lub „strumień" elektronów. Teoretycznie „pocisk" ten powinien uderzyć w ziemię, rozpłynąć się w niej w postaci prądu o natężeniu 20—30 tys. amperów i zneutralizować zawarte w niej jony dodatnie. I tak się też dzieje w ogromnej większości przypadków, ale nie zawsze...

Bywa, że na skutek ostrego zagięcia błyskawicy, albo specyficznych własności miejsca, w które uderzył piorun, następuje gwałtowne zawirowanie poruszającego się z zawrotną szybkością ładunku. Tak silne, że nie może on już jak zwykle „rozpłynąć się po kościach", lecz tworzy mniej lub bardziej stabilny wir — czyli piorun kulisty. Wewnątrz niego dodatnie i ujemne ładunki usiłujące dogonić się i zobojętnić jednocześnie uciekają przed sobą tworząc coś na kształt psa kręcącego się za własnym ogonem z prędkością ok. 10 km/sek.

Potwierdzają to liczne obserwacje. Wielu świadków wyraźnie widziało wirowy ruch pioruna kulistego, choć zapewne było z tym tak, jak z patrzeniem na obracające się śmigło samolotu lub wentylatora — widać powolny ruch w stronę przeciwną do rzeczywistego kierunku obrotów. Ponadto widywano już też pioruny kuliste w postaci pierścienia (właśnie tak wygląda pies ze swoim ogonem w zębach...) lub stożka (typowy kształt wiru), a na wielu zdjęciach widać wyraźnie jak smugi świecących gazów odrywają się i odpadają od pioruna kulistego po liniach stycznych do jego powierzchni co jednoznacznie potwierdza występowanie ruchu wirowego.

W lipcu 1963 r. zaobserwowano dokładnie, jak piorun kulisty powstał i wzleciał do góry w miejscu uderzenia pioruna liniowego w powierzchnię jeziora. Podobne metamorfozy i przekształcenia pioruna zwykłego w kulisty obserwuje się bardzo często, np.:

W sierpniu 1969 r. maszynista lokomotywy elektrycznej zaobserwował powstanie pioruna kulistego w miejscu uderzenia pioruna w żelazny słup sieci trakcyjnej — wyleciała stąd fioletowa kulka ognia i znikła po kilku sekundach.

Zaś w czercu 1973 r. o godz. 20 spostrzeżono jak ze snopa ognia i iskier powstałego z uderzenia pioruna w słup linii wysokiego napięcia wyskoczył oślepiająco biały piorun kulisty i potoczył się po przewodzie do następnego słupa, aby tam zniknąć po zetknięciu się z przewodem uziemienia, który w tym momencie rozjarzył się do czerwoności.

Przedstawiona powyżej teoria doskonale tłumaczy wszystkie inne własności i cechy pioruna kulistego i pozwala odpowiedzieć na wiele pytań m.in. np.: jak może zaszkodzić on człowiekowi?

Porażenie elektryczne — jeżeli w danym przypadku występuje we wnętrzu pioruna kulistego przewaga któregoś z ładunków, to jasne jest, że przy pierwszej okazji jaką może być dotknięcie przez człowieka nastąpi likwidacja tego „nadmiaru" w postaci przepływu prądu elektrycznego przez ciało ofiary jeśli stała ona na nieizolującym podłożu.

Poparzenie — nie zależy to od temperatury wewnętrznej pioruna, gdyż ta sięga zawsze kilkudziesięciu tysięcy stopni Celsjusza, ale od gęstości plazmy i przez to od tego, czy energia jest w nim zmagazynowana w większej części w postaci ciepła, czy może w innych formach (elektryczna, kinetyczna ruchu wirowego, ciśnienia). W zależności od ich proporcji piorun kulisty może wydawać się w dotyku (!) ledwo ciepły, albo powodować ciężkie poparzenia ze zwęgleniem kości włącznie.

Obrażenia mechaniczne — tego dotyczy przypadek przytoczony na wstępie. Jeżeli ruch wewnętrzny pioruna jest stabilny i doskonale zrównoważony, a większość energii zawarta jest w nim w postaci energii ruchu wirowego jonów i elektronów, to może ona zachowywać się jak latająca piła tarczowa...

Wybuch — następuje w wyniku rozpa-

Ciąg dalszy na stronie 18

SFINKS 11 (18) LISTOPAD 1991

Zawarł w nim Calligaris swoje spostrzeżenia i obserwacje anomalii we wrażliwości chorych, cierpiących na zaburzenia i uszkodzenia układu nerwowego. Równie intensywnie zajął się uczony problemem „ciągów linii na ciele", których pobudzenie powoduje określone reakcje psychiczno-fizyczne i w tym zakresie opublikował aż... 40 prac.

Zaskakiwała płodność twórcza i pracowitość tego człowieka. Wciąż eksperymentował, przeprowadzał tysiące prób z zakresu neurologii. Wreszcie, w roku 1928, ogłosił kolejne odkrycie: badając stały odruch fizyczny, powstający wskutek pobudzenia („ładowania") linii osiowej palca lub linii międzypalcowej, zauważył, że osoba poddawana eksperymentowi stwierdzała zawsze takie same odczucia. Uznał również, że poza odruchem skórno-psychicznym, takie pobudzenie powodowało nadwrażliwość w określonym organie wewnętrznym. Zjawisko te określił mianem „odruchu skórno-somatyczno-psychicznego".

Czyli – poprzez lekkie pobudzenie, znalezionych przez Calligarisa, miejsc na ciele, zostaje wyzwolony pewien mechanizm somato-psychiczny, pozwalający na zlikwidowanie danego schorzenia oraz na kontakt z podświadomością i ponadosobowością.

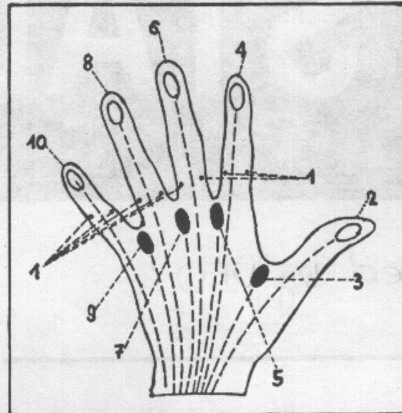
„PLACCHE"

– tak nazwał profesor Calligaris odkryte przez siebie punkty na ciele człowieka. I stwierdził: „Do wykrywania i ładowania nadwrażliwych linii i punktów na skórze posługujemy się szpilką połączoną z elektrodą, przez którą przepływa słaby prąd Faradaya i którą przesuwamy powoli, wiele razy, po badanej powierzchni. Natomiast osoba poddawana temu eksperymentowi, trzyma w ręce szeroką, obojętną elektrodę."

Punkty te posiadają na ogół przekrój o średnicy 5–12 mm, i – zdaniem Calligarisa – są ich setki na naszym ciele. Należy je „wyszukać" co – bynajmniej – nie jest łatwym zadaniem, podobnie zresztą jak zalecane przez niego wyszukiwanie linii. Bowiem u podstaw badań leży – jak twierdzi – odkrycie nie tylko „placche", ale bardzo gęstej siatki linii (nadwrażliwych) poziomych i pionowych, krzyżujących się i tworzących kwadraty o różnym znaczeniu. Gdy uda się określić linie osiowe, będące prawdziwym układem współrzędnych kartezjańskich – można już w stosunkowo prosty sposób wyszukiwać „placche".

Każdy z nich, pojedynczy, wyzwala inną reakcję psychiczną. Zaś pobudzenie osiągnąć można w rozmaity sposób: poprzez lekki nacisk bądź nacieranie, częściowo termicznie, niekiedy elektrycznie lub magnetycznie. Pewną rolę odgrywa czas trwania i intensywność takiego pobudzenia. A wówczas wywołane zostają rozmaite efekty:

1/ telepatyczne wysyłanie myśli
2/ telepatyczny odbiór myśli
3/ telepatyczne wysyłanie rozkazów
4/ telepatyczne wysyłanie pomyślanych obrazów
5/ czytanie myśli
6/ rozpoznawanie, czy ktoś mówi prawdę
7/ widzenie osób i przedmiotów poprzez ścianę
8/ widzenie aury
9/ biolokacja
10/ jasnowidzenie.



Punkty na dłoni

Oczywiście to jedynie przykłady, bowiem metoda Calligarisa umożliwia wiele innych zjawisk z zakresu parapsychologii (jeden z nich przytaczam obok).

WPISANIE W NATURĘ

Osoby, które zapoznały się z dziełami Calligarisa (dziewiętnaście 500--stronicowych tomów!), stwierdzały zgodnie, że wśród złożonych wywodów z zakresu neurologii i parapsychologii, niezwykle wyraźnie nakreśla profesor prawdę, iż człowiek jest tylko małą cząstką dużo bardziej skomplikowanej równowagi, kosmicznej harmonii, która wywiera na niego wpływ i określa go, czy tego chce czy nie chce.

W ostatnich latach swego życia (zmarł w roku 1944) Calligaris coraz częściej wspominał o „wyższej inteligencji", której oddźwięk pojawiałby się poprzez „placche". W jednej ze swoich książek, z roku 1939 („Nowe cudowności ludzkiego ciała") pisze: „Według naszego pojmowania, które może być fałszywe lub słuszne, inteligencja nasza jest produktem czynności naszego mózgu. Ale być może jest ona także pewnym promieniowaniem, emancją, odbiciem – nie wiem, jak powinienem to nazwać – ową tajemniczą wszechwiedzą, co egzystuje niezależnie od materii i mózgu. Innymi słowy: świadomość i inteligencja człowieka byłaby więc wyłącznie odbiciem świadomości i inteligencji Natury."

TRAGICZNY KRES...

Zmarł na kilka dni przed wkroczeniem Aliantów do Rzymu. Upokorzony, niedoceniony. Chociaż zawsze udostępniał wyniki swoich badań i eksperymentów szerokiej publiczności, nigdy nie uzyskał godziwego uznania ze strony mu współczesnych. Również studenci, mimo korzystania z jego podręcznika neuropatologii – z całą bezwzględnością odrzucali wyniki wieloletnich doświadczeń Calligarisa. On sam, zdając sobie z tego doskonale sprawę, mawiał: „Biedny, samotny badacz. Chociaż prowadzę ten spór już od ponad 25 lat, nie zabrakło mi przecież odwagi nigdy, nawet na 5 minut... Historia nauki jest pełna okrutnych szyderstw wobec nowego poznania. Jestem tego pewien: moja praca jest potrzebna dla postępu ludzkości ku wyższym celom... Jak kapitan nie opuszcza tonącego statku, a żołnierz nie zdezerteruje w czasie beznadziejnej bitwy, tak i ja, wbrew wszelkim przeciwnościom będę prowadzić moje dzieło".

Na podstawie „Esotery" i nie publikowanej dotychczas książki „Calligaris – prekursor nowej ery"

opracowała IWONA KOZIEŁ

CZYNIENIE NIEWIDOCZNYMI PRZEDMIOTÓW, KTÓRE ZNAJDUJĄ SIĘ NAPRZECIWKO NAS W ODLEGŁOŚCI OD 1 DO 10 m (wg CALLIGARISA)

Ta placca o średnicy 12 mm znajduje się na powierzchni zewnętrznej ręki, 1 cm za jej linią boczną w płaszczyźnie, która przechodzi 2 cm nad zgięciem kolana. Dla uwrażliwienia jej (należy pamiętać, że aby dana placca mogła stać się nadwrażliwą, a zatem, aby mogła być ona wykryta i ładowana, musi w pierwszym rzędzie należeć do nadwrażliwych) wystarczy, jeżeli w promieniu około 1 cm wokół osoby poddawanej eksperymentowi znajdzie się dowolny przedmiot (np. ściana).

Reakcje charakterystyczne: 1) wrażenie pulsowania w żołądku, 2) konwulsje w części górnej twarzy, zwłaszcza w jej lewej połowie, 3) wrażenie, że ziemia cofa się spod nóg.

Ładowanie tej placca musi trwać przynajmniej 10–15 minut, po czy wszystkie przedmioty znajdujące się naprzeciwko osoby poddawanej eksperymentowi w podanym promieniu zaczną się powoli „rozlewać", aż całkowicie się rozpłyną i znikną. Początkowo stawać się będą przeźroczyste, zamglone, aż przyjmą kolor tła danego pomieszczenia (pozostaje jednak pewne postrzeganie konturów). Przedmiot ten nigdy jednak nie znika całkowicie. Ładowanie tej placca nie oddziałuje na istoty żywe niezależnie od tego, czy są to ludzie, czy zwierzęta lub rośliny, będą one zatem widziane wyraźnie. Jeżeli naprzeciwko osoby poddawanej eksperymentowi stanie człowiek, to wydawać się będzie, że jest on otoczony mgiełką, a jego ubranie stanie się niewidoczne.

ZAGADKOWE JEZIORO TITICACA

Titicaca jest nie tylko największym jeziorem Ameryki Południowej, ale i największym wysokogórskim zbiornikiem wodnym na świecie: wysokość, na jakiej leży jezioro niewiele tylko ustępuje wysokości Mont Blanc, przekracza natomiast wysokość japońskiego wulkanu Fudżijama. Leży ono na granicy dwóch państw, Peru i Boliwii, ciągnąc się na przestrzeni 180 kilometrów z północnego zachodu na południowy wschód. W najszerszym miejscu brzegi jeziora dzieli odległość 60 kilometrów. To olbrzymie jezioro-morze, położone na wysokości bez mała 4 kilometrów, obramowane sięgającymi 6 tysięcy metrów grzbietami Andów, stanowi prawdziwą zagadkę dla nauki. Dlaczego np. w jeziorze żyją zwierzęta morskie, zamieszkujące wody Pacyfiku? Dlaczego woda tego podniebnego zbiornika jest równie zasolona jak wody oceaniczne?

Na zboczach gór okalających jezioro Titicaca można obejrzeć ślady morskiego przyboju, a na brzegach – znaleźć skamieniałe szczątki zwierząt morskich. Może więc Titicaca jest jedynie częścią pradawnego morza-jeziora, jeszcze większego niż dzisiejsze? Albo też, jak przypuszczają inni badacze, jezioro wypełnione słoną wodą oceaniczną stanowi pozostałość gigantycznej zatoki Pacyfiku? Geolodzy twierdzą, że Andy, podobnie jak Himalaje, są górami młodymi. Kiedyś, gdy ich jeszcze nie było, Ocean Spokojny wcinał się głęboko w kontynent południowoamerykański. Z chwilą zaś, gdy rozpoczął się proces wypiętrzania masywu andyjskiego, zatoka stała się jeziorem. Góry wciąż rosły, a wraz z nimi coraz wyżej i wyżej – pod, a później i ponad obłoki – unosiło się także jezioro. Było to jednak wznoszenie równomierne i płynne, czego dowodzi dobrze zachowana linia brzegowa archaicznego morza-jeziora.

Po zagadkowym jeziorze pływają nie mniej zagadkowe łodzie plecione z trzciny. Na podobnych łódkach pływali po Nilu starożytni Egipcjanie, takie same czółna po dziś dzień wyplatają rybacy znad afrykańskiego jeziora Czad, a ongiś podobnymi łodziami posługiwali się mieszkańcy Wysp Wielkanocnych. Na tego typu łodziach żeglował przez Atlantyk i Ocean Indyjski słynny norweski podróżnik i badacz Thor Heyerdahl. Nieopodal jeziora Titicaca znajdują się ruiny jednego z najbardziej tajemniczych zespołów architektonicznych, znanego jako Tiahuanaco. Główną budowlą zespołu jest tzw. Brama Słońca – portal utworzony z olbrzymich płyt kamiennych, ozdobiony płaskorzeźbami wyobrażającymi fantastyczne – lub mocno stylizowane – stwory. Genezę Tiahuanaco wiązano a to z mityczną „rasą gigantów", jacy mieli ongiś zamieszkiwać na Ziemi, to znów z kosmitami, z legendarnymi kontynentami – Atlantydą, Mu, Andinią, wreszcie z zagadkowymi „białymi Indianami", którzy w końcu odeszli na zachód, ku wyspom Pacyfiku. Jest wszelako wielce prawdopodobne, że zagadka Tiahuanaco może zostać rozwiązana w toku badań dna jeziora Titicaca.

W latach 60. naszego stulecia płetwonurkowie z Argentyńskiej Federacji Pływackiej zakomunikowali, że w odległości 4 kilometrów od brzegu jeziora udało im się odkryć cały zespół architektoniczny ciągnący się na przestrzeni ponad tysiąca metrów, na który składała się brukowana droga o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych i około 30 odcinków muru ustawionych w geometrycznym porządku, równolegle do siebie. Mogło to być równie dobrze zatopione miasto, jak i kompleks świątynny czy „miasto umarłych" – nekropolia Tiahuanaco. Niestety, w toku dalszych poszukiwań, w których wziął udział Jacques-Yves Cousteau, nie znaleziono pod wodą żadnych ruin... Jednak 10 lat później prasa doniosła, że boliwijscy operatorzy filmowi w trakcie kręcenia zdjęć podwodnych natknęli się na dnie jeziora na przedmioty należące do prastarej kultury.

Kiedy zespół Tiahuanaco został odkryty przez Europejczyków, informacje miejscowej ludności o jego twórcach ograniczały się wyłącznie do fantastycznych legend. Jedna z nich głosiła, że bogowie, rozgniewani na dawnych budowniczych, zesłali zarazę, głód i straszliwe trzęsienie ziemi, w efekcie którego twórcy Tiahuanaco zginęli, a ich stolica zapadła się w wody jeziora Titicaca. Przyszli badacze będą więc musieli ustalić, na ile prawdziwa jest ta legenda i czy na dnie jeziora nie ma pozostałości jeszcze jednej „Atlantydy".

Na jednej z wysp jeziora Titicaca istniał, jak pisali kronikarze hiszpańscy, ogród, dokąd Inkowie, twórcy scentralizowanego państwa, rozciągającego się na powierzchni ok. 2 milionów km², „udawali się na wywczasy morskie, a ujrzeć tam było można wszelakiego rodzaju płody, kwiaty i drzewa ze złota i srebra uczynione". Te właśnie złote wspaniałości zwabiły hiszpańskich zdobywców, którzy jednak nie zdołali zagrabić darów „złotego ogrodu", ponieważ Inkowie zatopili swoje skarby w jeziorze. Według starych podań indiańskich, na dnie Titicaca spoczywa też złoty dysk o wadze kilku ton... Co prawda nikomu jeszcze nie udało się dowieść prawdziwości wszystkich tych opowieści. Bo w ustaleniu prawdy mogą być pomocne wyłącznie szczegółowe podwodne badania archeologiczne, nie zaś krótkie wypady na dno gigantycznego jeziora.

(Tłum. z jęz. ros. A. KUBIK)

PRZYGODY Z DUCHAMI, CZYLI ZWIERZENIA EGZORCYSTKI

Z serii moich opowieści o duchach chciałabym opowiedzieć o pewnym wydarzeniu sprzed sześciu lat. Nieraz spotykałam się z przypadkami, od których włos jeżył się na głowie i wydawać się mogło, iż cała fabuła to wytwór jakiejś chorej wyobraźni... Ale tej historii nie mogłaby zrodzić najbardziej wybujała fantazja.

Tak więc pierwszą moją reakcją było zdziwienie i przerażenie. A wszystko zaczęło się w

PAŹDZIERNIKOWY WIECZÓR

kiedy zadzwonił do mnie znany lekarz (astrolog, parapsycholog), współpracujący wówczas z miesięcznikiem

ZAKOCHANY NOŻOWNIK

„Zdrowie". Powiedział mi, że do redakcji przyszedł list od młodej kobiety, która jest ciągle... rżnięta nożami. Nie mogłam zrozumieć o co chodzi w tej makabrycznej historii. Mój rozmówca wyjaśnił, że kobieta żyje, natomiast jej odzież na wysokości klatki piersiowej, w okolicy serca systematycznie jest cięta i dziurawiona. Winowajcy nie ma. Kobieta owa odczuwa silne bóle serca i klatki piersiowej, drętwienie kończyn i rozmaite inne dolegliwości, którym towarzyszy paniczny lęk. Znajomy lekarz sugerował, że niezależnie od prowadzonego leczenia z medycznego punktu widzenia, ja powinnam zająć się tą sprawą, czyli krótko mówiąc rozszyfrować tajemnicę i wyjaśnić owe

DZIURY W ODZIEŻY

Postanowiłam więc pomóc nieszczęśliwej kobiecie. W niedługim czasie otrzymałam od niej list, w którym, między innymi, pisała: *jestem mężatką, mam kilkumiesięczne dziecko. Należę do osób spokojnych i wrażliwych, nie mam szczególnych problemów życiowych. Sprawa, z którą się do Pani zwracam jest niecodzienna. Nakładane przeze mnie bluzki i sukienki są dziurawione w okolicy dołka sercowego (...)*

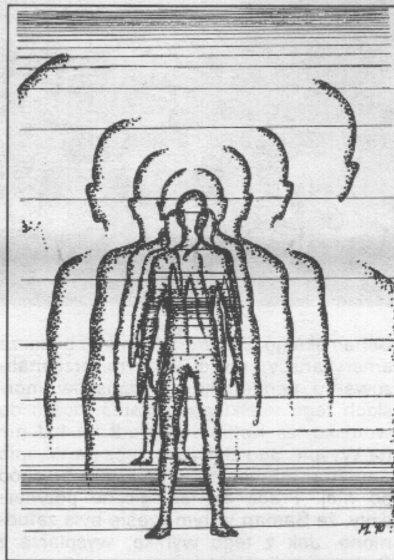
Korzystając z posiadanego listu pisanego ręcznie przez panią Grażynę (list-świadek), spróbowałam nawiązać kontakt ze sprawcą wydarzeń. Udało mi się, o czym za chwilę. W wyznaczonym terminie pani Grażyna wraz z matką przyjechały do mnie. Przywiozły ze sobą ogromną torbę pełną zniszczonej, pociętej nożem, lub jakimś ostrym przedmiotem odzieży. Pomijając inny aspekt sprawy, przerażające było jak wielkie straty materialne poniosła właścicielka tych rzeczy, zważywszy, że niszczenie odzieży trwało od kilkunastu lat.

Specjalnie, tego właśnie dnia zaprosiłem do siebie kilka osób znanych w kręgach parapsychologicznych.

KONSULTACJA

na którą bardzo liczyłam, nie wniosła niczego, co mogłoby pomóc sprawie. Przypuszczenia, iż chodzi o działanie ektoplazmy były bezpodstawne – ektoplazmicznie materializujący się duch nie występował w tym zjawisku i z zasady nie ma on tak ogromnej siły telekinetycznej, by móc przebijać, niekiedy bardzo mocny, materiał odzieży. Nie uzyskawszy pomocy ze strony ekspertów, przedstawiłam swoje spostrzeżenia.

Duch, z którym udało mi się nawiązać wcześniejszy kontakt, ów



mężczyzna – astral, podał się za byłego męża (z poprzedniego wcielenia pani Grażyny!). Był i jest bardzo w niej zakochany. Zaślepiony zazdrością, pod wpływem alkoholu zamordował ją, zadając nożem ciosy w serce. Teraz oczekuje od niej przebaczenia – za spowodowane cierpienie i przedwczesną śmierć. Pani Grażyna otrzymała ode mnie wskazówki, jak ma postępować, jak nawiązać z astralem kontakt mentalny.

Jako żarliwa katoliczka nieufnie odnosiła się do zjawiska reinkarnacji. Ale, nie mając innego wyjścia, przyjęła moje zalecenia i wykonywała je – jak się później okazało z pożytkiem i korzyścią dla siebie.

SPOWIEDŹ OTELLA

Tak nazwałam astrala. Po paru godzinach przywoływania go poczułem gwałtownie przeszywający chłód... i usłyszałam jego głos...

Opowiedział mi dramatyczną historię swego ziemskiego życia: – Bardzo kochałem swoją żonę i byłem chorobliwie o nią zazdrosny. Koledzy często się z tego wyśmiewali, a kiedyś postanowili zakpić sobie ze mnie. Opowiedzieli mi o jej niewierności, powołując się na jakieś dowody. Nie mogłem tego słuchać, wpadłem w furię. Byłem pod wpływem alkoholu, pobiegłem do domu, chwyciłem nóż i nie zważając na rozpaczliwe błagania żony, ugodziłem kilkanaście razy w serce. Kiedy uprzytomniłem sobie co się stało, próbowałem odebrać sobie życie. Nie miałem jednak dość siły i odwagi. Opuszczając miejsce zbrodni, podpaliłem dom. Sam oddałem się w ręce sprawiedliwości, błagając o karę śmierci. Nie chciałem żyć. W więzieniu próbowałem popełnić samobójstwo, ale mnie odratowano. Jak na ironię otrzymałem krótki wyrok. Po wyjściu na wolność zapragnąłem zemsty. Wziąłem odwet na kolegach za swe zmarnowane życie i piętno zbrodniarza. W więzieniu rozmawiałem z księdzem, który powiedział mi, że po śmierci na pewno będę mógł odnaleźć duszę swojej żony i opowiedzieć jej prawdę, błagając o przebaczenie.

Powiesiłem się po dokonaniu zaplanowej zemsty. Duszę żony odnalazłem, kiedy była już wcielona jako dziecko w obecną postać. To ja właśnie zakłócałem jej dzieciństwo, ona bała się mych odwiedzin, dlatego płakała, krzyczała... ale ja nie chciałem robić jej nic złego... Potem, kiedy stała się dorosła, wyszła za mąż, nie przestałem jej dręczyć... ale bardzo chciałem, żeby zrozumiała, że to ja jej nie opuszczam. Z tymi nożami... myślałem, że w ten sposób najlepiej jej dam znać, że to **ja**. Pragnę uzyskać przebaczenie, bardzo cierpię. Jako zbrodniarz i samobójca zostałem wyklęty, pochowany bez modlitwy, nikt nie wypowiedział o mnie dobrego słowa. Pragnę współczucia i przebaczenia.

POŻEGNANIE

Po czterech latach znów spotkałam się z panią Grażyną, kiedy nagrywałam jej opowieść dla radia. Zastałam kobietę spokojną, zrównoważoną, minęły bez śladu dolegliwości chorobowe. Skończyła się makabryczna historia z nożami. Pani Grażyna, wypełniając skrupulatnie moje zalecenia, uwolniła się spod opieki astrala.

Ostatnia jego wizyta miała odmienną formę. Pewnego dnia, rano, będąc w swoim mieszkaniu, usłyszała dziwne odgłosy, jakby rozdzierający, przejmujący jęk. Przerażona pobiegła do pokoju matki, potem do dziecinnego – nic się tam nie działo. Po chwili owe odgłosy powtórzyły się, i jak się jej wydawało, trwały dość długo. Na szczęście astral – duch się nie zmaterializował. I to było ich pożegnanie.

IZABELA KRYSTYNA WĘGIERSKA

TAJEMNICE TRÓJKĄTA BERMUDZKIEGO

The Bermuda Triangle Mysteries.

Południowa część Półwyspu Bermudzkiego wyraźnie kontrastuje z pozostałym akwatorium. Tu ciągną się rozległe płycizny – Duża i Mała Mielizna Bahamska, poprzecinane głębokimi cieśninami i zatokami. Archipelag Bahamama leży na tych mieliznach i rozciąga się z północnego zachodu na południowy wschód na długości 1370 km.

Wyspy zbudowane są z wapienia i ledwo wystają nad wodą. Istnieje pewna prawidłowość – wschodnie brzegi są strome, zachodnie zaś otoczone mieliznami. Bahamska płycizna – obfituje w rafy, na których w pogodę sztormową rozbił się niejeden statek.

Wyspy Bahamskie porasta roślinność mangowa, na największych spotyka się gęste lasy tropikalne.

Mielizny są bogate w ryby, przy czym w niektórych rejonach obserwuje się duże skupiska rybne. Na Małej Mieliźnie na głębokościach około 5 m zwykle występują rejony mętnej wody, gdzie w poszukiwaniu pożywienia gromadzi się duża ilość ryb. Te rejony widać gołym okiem. Dają one niekiedy fałszywy obraz istnienia jakiejś przeszkody podwodnej.

Z rozległymi płyciznami i mieliznami kontrastują głębokie cieśniny i zatoki o głębokościach oceanicznych.

Wyspy Bahamskie to miejsce historyczne. Odkrycie Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba zaczęło się właśnie od tych wysp. 12 października 1492 roku wysiadł on na ląd na Wyspie San Salvador, wchodzącej w skład Archipelagu Bahamskiego. Zresztą, niedawno badacze amerykańscy, po dokładnym przeanalizowaniu pamiętników i zapisków morskich tego wielkiego żeglarza, doszli do wniosku, że Kolumb wysiadł na ląd nie na Wyspie San Salvador, lecz na Wyspie Samana, leżącej na południowy wschód od niej. Prace archeologiczne potwierdziły, że Saman w tym czasie była zaludniona. Jak z tego wynika, wyspiarze z Samany byli pierwszymi przedstawicielami Nowego Świata, którzy spotkali Kolumba i jego współtowarzyszy.

Jedną z osobliwości Mielizny Bahamskiej są Błękitne Dziury. W kwietniu 1946 roku „w poszukiwaniu najbardziej czystej wody na półkuli północnej" na Wyspy Bahamskie przylecieli entuzjaści pływania podwodnego, Jane i Barnie Cryll. W stolicy archipelagu, w Nassau, opowiedziano im o tajemniczych Błękitnych Dziurach. Podwodni żeglarze zainteresowali się nimi. – „A cóż to takiego?" „Nikt nie wie – odpowiedział im miejscowy szyper. – Są one pełne różnych zwierząt. I są to największe zwierzęta, jakie kiedykolwiek panowie spotkali. Ta Błękitna Dziura sięga aż samego dna Ziemi".

Wypowiedź szypra ożywiła ciekawość podwodnych żeglarzy, którzy dopięli swego, by na własne oczy ujrzeć owe przejrzyste fragmenty wody na płyciznach u brzegów Wyspy Andros. Oto co Jane i Barnie mówią na ten temat w swojej książce *W poszukiwaniu podwodnych skarbów*.

„Przywiosłowaliśmy do stromego brzegu Błękitnej Dziury i zajrzeliśmy wgłąb. Był to ogromny lej, którego dno ginęło w niebieskiej mgle. Ogromne szczupaki morskie leżały nieruchomo na płyciznach. Szyper rzucił kawałek wodorostu w sam środek Dziury, a my obserwowaliśmy, jak roślina pogrąża się tam. Początkowo wodorost spadał powoli, potem z coraz większą prędkością. Staliśmy w łódce, by lepiej to widzieć. Mniej więcej na głębokości 15 stóp prędkość spadania zwiększyła się, po czym wodorost znikł, być może został wessany do wapiennej pieczary. Wkoło skał u wejścia do pieczary trawa morska uginała się i szeleściła pod wpływem prądu wody.

– Teraz woda ginie – powiedział szyper – nikt nie wie, dokąd płynie. Później wraca i spieniona wydobywa się tu, na powierzchni".

Piętnaście lat temu ekspedycja Jacques-Yvesa Coustaud przeprowadziła badania na Bahamach. Ustalono, że groty podwodne powstawały w epoce lodowcowej kosztem opadów atmosferycznych, kiedy rafy znajdowały się wysoko nad poziomem oceanu. Woda deszczowa zżerała wapień, przy czym rozpuszczanie wapieni odbywało się nierównomiernie. W zapadlinach gromadziły się kałuże. Stopniowo słodka woda „pożerała" wapień – tworzyło się wgłębienie, a potem szczelina. Strumienie wody poszerzały szczelinę, tak że w końcu powstawały całe systemy korytarzy i komór. Na ścianach i sklepieniach grot tworzyły się sta-

laktyty. Kiedy już poziom Oceanusa znów się podniósł, groty ulegały zatopieniu, a ich erozja ustawała.

Dalsze losy grot podwodnych zależą od tego, na ile intensywny jest ruch wód. Jeśli prąd jest powolny, to groty stopniowo wypełniają się piaskiem i na odwrót, przy dostatecznie silnym prądzie piasek nie odkłada się i grota podwodna staje się dogodnym miejscem przebywania wielu zwierząt morskich prowadzących głębinowy tryb życia.

Zdaniem Berlitza w kanionach i grotach podwodnych wód Wysp Bahamskich można spotkać różne morskie monstra, które wyglądają na tyle niezwykle, że zdają się być ostańcami czasów minionych. Przytacza on wypowiedź pewnego zawodowego nurka, który jakoby latem 1968 roku zetknął się właśnie z takim monstrum.

Wydarzyło się to na południe od latarni morskiej Great Issak, tuż przy brzegu szelfu lądowego. Nurek oglądający dno na głębokości 11-13 metrów nagle dostrzegł coś okrągłego w rodzaju żółwia lub dużej ryby o wadze około 180 funtów. Gdy zszedł niżej, zwierzę popatrzyło na niego pod kątem 20°. Miało ono pysk małpy i łeb wysunięty do przodu. Jego szyja była o wiele dłuższa niż ludzka. Przyglądając się badawczo nurkowi, monstrum niczym żmija wyginało szyję. Oczy jego były podobne do ludzkich, ale nieco większe i przystosowane do życia pod wodą. Po chwili potwór oddalił się w taki sposób, jak gdyby ciągnęła go w dół jakaś siła...

Najprawdopodobniej był to jakiś legendarny potwór bahamski, który żyje w jaskiniach podwodnych i podobno żywi się ludzkim mięsem. W opisie tego monstrum być może jest wiele niedorzeczności, jednakże nie można całkiem wykluczyć ewentualności występowania na Bahamach jakichś nie znanych nauce zwierząt. Nowe odkrycia są obecnie rzadkie, tym niemniej mają miejsce.

W roku 1976 w górnym biegu Amazonki odkryto na przykład nowy gatunek delfinów boliwijskich. Opowiadania naocznych świadków o kalmarach-krakenach przekraczających długość 20 metrów dłuższy czas traktowane były jako fantazja. Jednakże obecnie biologowie uznają istnienie krakena i zaliczają go do głowonogich mięczaków.

Doskonałym przykładem odkryć „żywych wykopalisk" jest znalezienie, uznanej za wymarłą miliony lat temu, ryby trzonopłetwej latymerii, występującej w spokojnych wodach Wysp Comores.

Zwolennicy tajemnic i zagadek Trójkąta Bermudzkiego oraz atlantolodzy Bahamy uznają ten obszar za rejon, w którym zachowały się ślady starych, a nawet pozaziemskich cywilizacji. Największą popularnością cieszą się tak zwane ściany Bimini. Najpierw uwagę miłośników sensacji zwróciły nie „ściany" lecz pojedyncze kolumny marmurowe, leżące na dnie i odkryte przez dwóch płetwonurków w 1956 roku w pobliżu Wysp Bimini. Jednakże w następnym roku płetwonurkowie, wróciwszy na to samo miejsce, nie znaleźli żadnych kolumn. Czy jest to prawda, trudno powiedzieć, przecież Wyspy Bimini nie leżą na Morzu Śródziemnym, gdzie mają miejsce podobne znaleziska. Z drugiej strony, jeśli wierzyć płetwonurkom, że faktycznie widzieli te kolumny, to pozostaje przypuszczenie, że pod wpływem dużego ruchu piaskowych namulisk znikły one pod grubą warstwą piasku.

W 1967 roku znany specjalista w dziedzinie urządzeń podwodnych, Dymitr Riebikow, przelatując samolotem między Wyspami Bimini i Wyspą Andros, na płyciźnie dostrzegł zarysy jakichś budowli idealnych geometrycznie. Rok później pilot Robert Bruce odkrył na północ od Wyspy Andros również pozostałości jakichś budowli.

W pobliżu wybrzeża północnego Bimini odkryto zagadkową zatopioną „szosę Bimini", zbudowaną z kamiennych bloków. W 1968 roku zajęli się nią Dymitr Riebikow, płetwonurek Robert Marks i doktor M. Walentine. Stwierdzili oni, iż *„wszystkie bloki znajdują się na głębokości 6 metrów pod wodą. Waga niektórych z nich dochodzi do 15 ton. Większa część formacji najprawdopodobniej jest zasypana piaskiem, ale jest dostrzegana na długości 500 metrów"*.

A oto co na ten temat mówi **Filip Coustaud**, który przebywał w rejonie Płycizny Bimińskiej i prowadził tu prace badawcze: *„Płyniemy w kierunku wspaniałej »drogi«. Czyżby była ona dowodem niezrównanej sztuki budowlanej Atlantydów, która jak się przypuszcza, posłużyła za wzór architektom cywilizacji egipskiej i prekolumbijskiej. Nie ma wątpliwości, że tylko wytrawni budowniczowie mogli ociosać takie bloki pod kątem prostym i dopasować je tak idealnie. Bloki są wykonane z materiału nie mającego nic wspólnego ze skałą osadową..."*

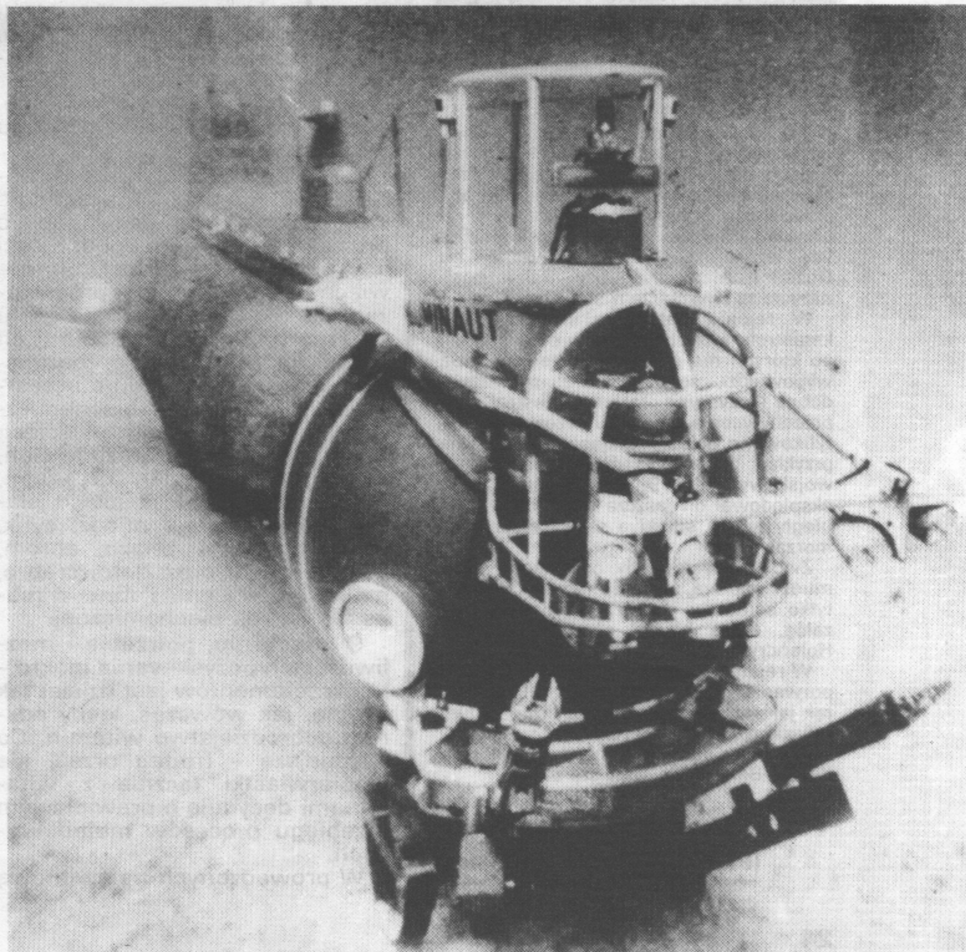
Podsumowując swoje obserwacje, naoczni świadkowie zauważają, że te podwodne budowle nie są tworem naturalnym. *„Co więcej, nierzadko spotyka się nieduże kamienie, które służą jako podpora dla większych. Te podkładki użyte są w celu wyrównania bloków podstawowych; natura nie mogła stworzyć takiego cudu"*.

Istnieją i wypowiedzi innych naocznych świadków, którzy twierdzą, że „ściany" i „szosa Bimini" bezwzględnie nie są dziełem rąk ludzkich lecz naturalnym tworem. Twierdzą również, że już zostały obalone legendy o rzekomym podwodnym kosmodromie, na którym lądowały „latające talerze", i o ruinach świątyni antycznej.

Pierwszy był odkryty z lotu ptaka: była to geometrycznie idealna sieć linii pod wodą na Dużej Mieliźnie Bahamskiej. Okazało się, iż są to pęknięcia, które powstały w wyniku badań sejsmicznych, prowadzonych przez poszukiwaczy ropy naftowej. Zwolennicy tej hipotezy mówią również o zburzonej świątyni antycznej w rejonie Wyspy New Providence. Z samolotu widzieli oni pod powierzchnią przejrzystej wody prostokątne zarysy jakiejś budowli. Przypuszczano, że jest to świątynia. Jednakże płetwonurkowie szybko ustalili, iż jest to zaledwie ogrodzone miejsce dla przechowywania gąbek morskich. To podwodne ogrodzenie wiele lat wstecz zbudowali miejscowi mieszkańcy...

Zwolennicy legendy o Trójkącie Bermudzkim przekonują, że w ostatnich informacjach pilotów, którzy zginęli w południowej części Trójkąta Bermudzkiego, była mowa o niezwykłym kolorze białym powierzchni morza. Przy całym sceptycyzmie do legendy, możemy zgodzić się, że w przypadku, jeśli awaria samolotów miała miejsce nad Mieliznami Bahamskimi, to taki niezwykły kolor wody morskiej byłby realny. Jak wiadomo, kolor morza określa zawartość rozpuszczanych w niej i zawieszonych substancji.

Na przykład, Morze Żółte nazywa się tak ze względu na kolor wody. Żółtawy odcień nadają jej wody rzek, które niosą ▶



zawieszone cząsteczki brązowych gleb lessowych.

Wody oceaniczne w rejonie Mielizn Bahamskich przybierają kolor biały ze względu na zawartość mikroskopijnych cząsteczek aragonitu (kwiatu żelaza). Jego skład chemiczny jest taki sam jak w przypadku zwykłego kalcytu, lecz ma inną strukturę krystaliczną. Związek ten zachowuje się w wodzie inaczej niż sól czy cukier: przy nagrzewaniu krystalizuje się, bowiem zmniejsza się jego rozpuszczalność.

Jest to spowodowane tym, że na rozpuszczalność węglanu wapnia znaczny wpływ ma obecność dwutlenku węgla. Przy podwyższonej temperaturze dwutlenek węgla ulatnia się, a rozpuszczalność węglanu wapnia się zmniejsza.

Innymi słowy, podczas intensywnego nagrzewania wody morskiej, na Mieliźnie Bahamskiej, aragonit szybko się krystalizuje, nadając wodzie mleczny odcień. Taka jest przyczyna białych wód Mielizn Bahamskich.



Jak już wspomniałem wcześniej, główną przyczyną katastrof morskich na Mieliznach Bahamskich było to, że podczas sztormów statki wpadały na liczne rafy, przepalając sobie dno. Znana jest na przykład nieduża mielizna koralowa Silver, leżąca na południowy wschód od Dużej i Małej Mielizny Bahamskiej, nazywana cmentarzem statków.

W rejonie Baham zdarzają się też katastrofy lotnicze. Toną więc samoloty, po których nie pozostaje żaden ślad. Są wypowiedzi, że najbardziej prawdopodobną przyczyną takich katastrof jest przechwycenie samolotu przez niezidentyfikowane obiekty latające. Tak było na przykład z amerykańskim samolotem wojskowym S-119. Bardzo możliwe, iż eksplodował on jeszcze w powietrzu lub uległy awarii silniki, i samolot spadł do morza.

Zwolennicy legendy o Trójkącie Bermudzkim piszą, że na Bahamach giną nie tylko samoloty i statki, ale i statki bez załóg, które błądzą niczym „Latające Holendry".

W rejonie Baham zdarzają się jednak i porwania przez terrorystów kubańskich, tak jak to było z amerykańskim statkiem rybackim „Linda" w roku 1973, lub porwania przez mafie kokainowe, dla których Wyspy Bahamskie stały się bazą.

W. WOJTOW
(Przekł. i opr. J. Brońska)

BIOPIERWIASTKI to metale życia. Ich niedobór w organizmie stanowi przyczynę wielu poważnych schorzeń, a ponieważ skutki tego, z reguły, są odległe w czasie są one trudno dostrzegalne, zwłaszcza, że jak znaleźć związek między chorobą, a jej właściwą przyczyną, skoro o tej przyczynie niewiele wiemy?

NIE

A często jest nią właśnie nieprawidłowy poziom biopierwiastków, bądź niewłaściwe relacje między nimi. Organizm pozbawiony jakiegoś podstawowego mikroelementu choruje, jego bariera immunologiczna zmniejsza się, aż w końcu, bezbronny, pada ofiarą czyhających zewsząd chorób cywilizacyjnych.

Zatrute środowisko, skażona gleba, pestycydy, antybiotyki stosowane w uprawie roślin i hodowli zwierząt, niezdrowa żywność – bombardują nasz organizm METALAMI ŚMIERCI, które wdychamy i zjadamy. Jeśli się zdarzy, że brakuje nam wapnia, bądź magnezu, jego miejsce natychmiast zajmie ołów, jeśli cierpimy na niedostatek cynku, chętnie podstawi się kadm. Otwieramy drogę metalom toksycznym, których jest wokół pełno, gdy status mineralny organizmu został zaburzony.

W świetle współczesnych badań biopierwiastkom przypisuje się rolę czynnika decydującego o stanie zdrowia i podatności organizmu na choroby. Stanowiące zaledwie około 4 proc. ciężaru ciała wchodzą w skład wielu enzymów, lub powodują ich zwiększoną aktywność, bezpośrednio, czy też pośrednio uczestniczą w reakcjach biochemicznych. W większych ilościach znajdują się w organizmie tlen, wodór, potas, węgiel, sód, wapń, chlor, magnez, w ilościach śladowych występują miedź, cynk, selen, mangan, żelazo, chrom, kobalt, krzem oraz złoto, srebro, molibden, platyna i inne o nieustalonej roli biochemicznej.

O znaczeniu, potrzebie i możliwościach pozyskiwania makro – i mikroelementów jest dzisiaj tak głośno, jak wówczas, kiedy odkryto dobrodziejstwo witamin. Co ważniejsze – trudno orzec, ale biopierwiastki łącznie z witaminami decydują o prawidłowym przebiegu procesów metabolicznych.

W prowadzonych na światową skalę badaniach, nasi naukowcy mają niebagatelny udział. W **Instytucie Elektroniki Kwantowej Wojskowej Akademii Technicznej** – od lat tymi zagadnieniami zajmują się **doc. Alfreda Graczyk, dr Krystyna Radomska, dr Jerzy Konarski** – spopularyzowano metodę określania statusu mineralnego organizmu na podstawie analizy włosa.

– Jest to metoda szeroko rozpowszechniona, wyjaśnia **dr Krystyna Radomska**, a opracowali ją chemicy idąc w sukurs medycynie. Jest to metoda bardzo precyzyjna, przy tym całkowicie bezpieczna, nieinwazyjna, dlatego zyskała popularność. Patronat nad tego typu badaniami w świecie objęła Międzynarodowa Agencja ds. Energii Atomowej w Wiedniu. W naszym laboratorium zajęliśmy się także tą metodą, z zamiarem przystosowania jej do skromnych rodzimych warunków tak, by była ona odtwarzalna. I to się udało.

– Na podstawie uzyskanych wyników badań można już mówić o stanie zdrowia Polaków?

– Przebadaliśmy ponad sześć tysięcy osób, ludzi zdrowych, nie cierpiących na żadne choroby metaboliczne i stwierdziliśmy u nich poważne niedobory magnezu oraz wapnia – zarówno wśród dorosłych, jak też młodzieży i dzieci, natomiast u osób starszych, bardzo niski poziom cynku.

– Oznacza to ogólnie kiepską kondycję. Profesor Julian Aleksandrowicz określał magnez „królem życia"... Właściwie jaką rolę odgrywa ten pierwiastek w organizmie?

– Magnez jest odpowiedzialny za wiele procesów życiowych. Katalizuje albo wchodzi w skład trzystu enzymów, które odpowiadają za układ immunologiczny, kostny, mięśniowy, układ krążenia. Średni poziom magnezu w organizmie dorosłych Polaków

Lissoni



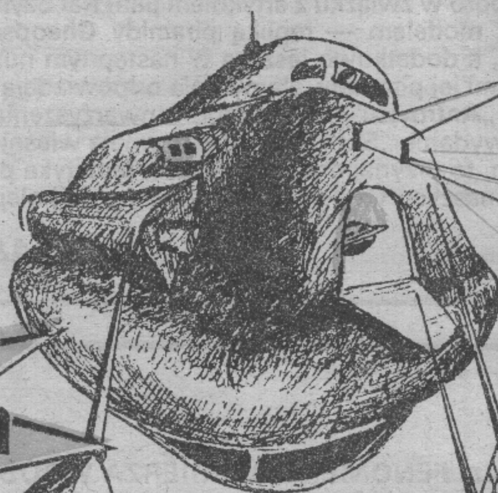
ŚWIAT PEŁEN TAJEMNIC

Cena 2500 zł

nr ind. 377015

SFINKS

2 LUTY (9) 1991



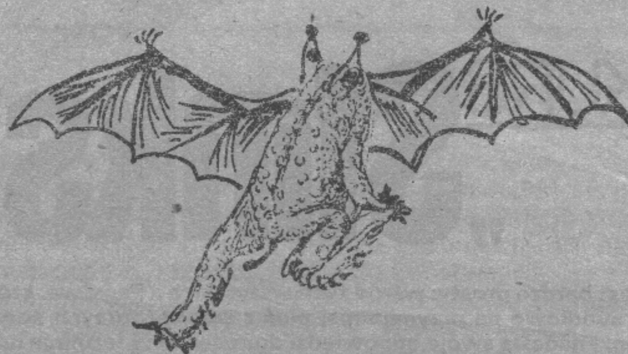
str.22

Skąd przybywa zjawa?

KAŻDY MOŻE BYĆ NIEŚMIERTELNY !!!

str.10

Tygodnik „EX PRESS" nr 21, dn. 90.05.26.



Rys. WESŁAW GALIŃSKI

The Exmoor Monster

POTWÓR Z EXMOOR

Już w trakcie pierwszych oględzin martwej owcy, angielski farmer Mike Williams uświadomił sobie, że padła ona ofiarą napaści niezwykłego stwora. Owca miała rozdarty kark, odgryzione lewe ucho, a to co z niej zostało, przypominało resztki rozdeptanego motyla. Poza tym drapieżnik wyssał ze swej ofiary wszystką krew.

— Zawołałem ojca i innych farmerów. Nikt przedtem nie widział, by ktoś zabijał owcę w ten sposób — powiedział Mike Williams reporterowi agencji Reutera. Tajemniczy napastnik rozerwał owcę tak szybko, że zwierzę nawet nie zdawało sobie sprawy z napaści.

Ta ofiara nie była jednak pierwszą. W Exmoor, rzadko odwiedzanym rejonie zachodniej Anglii, leżącym 320 km na zachód od Londynu, od 1983 r. wydarzyło się ponad 100 tego rodzaju wypadków. Istnieje tutaj kilkanaście gospodarstw farmerskich oddalonych znacznie jedno od drugiego.

Pierwsza fala tych wydarzeń wywołała panikę. Ani myśliwym, ani wypróbowanym tropicielom, ba — nawet jednostkom piechoty morskiej, które przeczesały teren o powierzchni 670 km kw. — nie udało się natrafić na „potwora z Exmoor". Mieszkaniec — Nigel Breerly, który niedawno napisał książkę „Nocny łowca" wspomina:

„... Nikt z nas nie wiedział, jak się mamy do tego zabrać. Jeden zabrał ze sobą siatkę na motyle, inny — znany specjalista od chwytania dzikich psów — zabrał ze sobą potężny połeć mięsa..."

Wszyscy mieszkańcy Exmoor przypomnieli sobie psa Baskerville'ów i doszli do wniosku, że mają do czynienia z anormalnie wielkim psem, który zadomowił się w ich krainie. Jednakże pozostawione przezeń ślady, sposób atakowania ofiary z góry i groźny ryk, który słyszeli Breerly'owie i ich towarzysze nasunęły im przypuszczenie, że mają do czynienia z pumą. Słyszałem ten ryk dwa razy — mówi Mike Williams, który mieszka w tych stronach od końca lat 50. — od którego włosy stają dęba na głowie ze strachu. To słyszeli także inni farmerzy — a niektórzy twierdzą, że nawet widzieli drapieżnika, a nawet szli po jego śladach.

Jeden z nich — Roy Brummer, kierownik szkółki strzeleckiej zobaczył pewnego ranka, jak niedaleko jego domu niezwykły stwór zeskoczył ze skarpy na drogę i skrył się w gęstwinie. — Był wielki jak wschodnioeuropejski owczarek, tyle że miał cienkie nogi. Wydawało mi się, że jest silny i zwrotny. Umaszczenie miał żółtobrązowe, ale w mroku trudno to było dokładnie ustalić — powiedział Brummer[1] Według jego rozeznania, była to puma. Strefa występowania tych drapieżników rozciąga się od płn. Kanady aż do Ameryki Południowej. I chociaż pumy nie występują w Wielkiej Brytanii, Breerly twierdzi, że jakaś puma uciekła z prywatnego rezerwatu i od paru lat tuła się po kraju.[2]

Oczywiście istnieją także przeciwstawne hipotezy. Dug Richarson — główny specjalista ds. kotowatych w londyńskim ZOO — podchodzi sceptycznie do relacji świadków. Twierdzi, że pumy wyją bardzo specyficznie, podobnie jak lisy i koty domowe. Poza tym nie stwierdzono przypadku, aby pumy wysysały ze swych ofiar krew. Drapieżniki z rodziny kotowatych w czasie chodzenia nie wysuwają pazurów, natomiast „exmoorski potwór" w czasie chodu wysuwa je, co widać po jego śladach...

Przypisy: [1]Opis „potwora" jest nader podobny do opisu afrykańskiego tajemniczego zwierzęcia, zwanego przez Somalijczyków „mngwa" lub „nunda" (por. Bernard Hueveimans „Na tropie nieznanych zwierząt). — przyp. tłum.

[2] temat „pumy na wolności" jest w lokalnej prasie brytyjskiej wymienny z tematem „Nessie na wolności" — zwłaszcza w sezonie ogórkowym — przyp. tłum.

Robert Leśniakiewicz

BURZA NA SATURNIE

Krążący w przestrzeni kosmicznej teleskop ***„Hubble"*** przekazał niedawno sensacyjne zdjęcia potężnej burzy szalejącej w atmosferze Saturna. Zdaniem planetologa **Andrew Ingersolla** z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, jest to obecnie największe zjawisko atmosferyczne w Systemie Słonecznym. Po raz ostatni coś takiego zarejestrowano również na Saturnie w roku 1933. Burza rozpoczęła się od „niewielkiej" (w rzeczywistości trzykrotnie większej od Ziemi) białej plamy zaobserwowanej w atmosferze Saturna we wrześniu 1990 roku. Plama ta następnie powiększała się, a pod koniec roku chmury burzowe złożone - jak przypuszczają uczeni - głównie z kryształków amoniaku okrążyły całą planetę pierścieniem o szerokości 9 650 kilometrów. Na zdjęciu widać wyraźnie potężne zawirowania i poskręcane pasma chmur. Szybkość huraganu oceniano na ok. 1600 km/godz. Jak wiadomo Saturn, podobnie zresztą jak i Jowisz, nie ma stałej powierzchni, gdyż jest w istocie olbrzymią kulą złożoną z cieczy i gazów.

(wk) *Ta biała plama na powierzchni Saturna to gigantyczne chmury burzowe.*

NAJGŁOŚNIEJSZY DŹWIĘK

W jednym z laboratoriów amerykańskich grupie naukowców udało się uzyskać najgłośniejszy dźwięk, jaki dotychczas zmierzono na świecie. Dźwięk ten wydobywa się ze swego rodzaju trąby wykonanej z betonu i najtwardszych rodzajów stali. Uzyskany hałas osiągnął siłę 210 decybeli. Wspomnianą trąbę zbudowano nie tylko dla pobicia światowego rekordu w dziedzinie hałasu. Cała sprawa związana jest również z doświadczeniami natury wojskowej. Okazuje się, że za pomocą takiej trąby można przebijać na wylot najgrubsze pancerze czołgowe. Być może więc Amerykanie są na dobrej drodze do wynalezienia nowego rodzaju broni np. działa dźwiękowego. (wk)

L'avvistamento è avvenuto in ottobre ma solo ora il giovane è stato convinto a parlare dall'ufologo Antonio Chiumiento. «Avanzava lentamente. Sono riuscito a catturare l'immagine con la Polaroid»

«Ho visto un Ufo, ecco la foto»

L'eccezionale testimonianza, giudicata attendibile, di un operaio di Calalzo

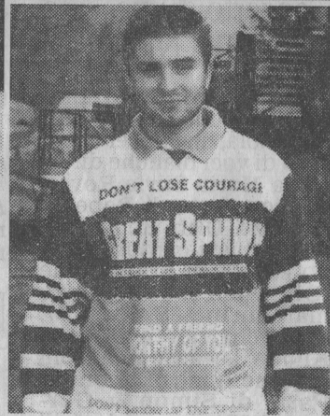
Calalzo

Un disco volante nel cielo di Calalzo? In pieno giorno, fotografato con una Polaroid. Protagonista dell'incontro ravvicinato un giovane di 23 anni, Giuseppe Giacomelli. Un ragazzo tranquillo, operaio in una verniciatura di occhiali, amico di tutti in paese. La notizia e la foto che la documenta se l'è tenuta per sè cinque mesi. E probabilmente non avrebbe parlato se, informato dall'astrofilo calaltino Antonio Iafrate, non l'avesse convinto l'ufologo Antonio Chiumiento, che all'avvistamento di Calalzo ha dato credito assoluto.

Era un pomeriggio dello scorso ottobre, lo stesso periodo in cui il sindaco di S. Nicolò, Giancarlo Ianese, e la figlia Cristina ripresero con la telecamera una sfera luminosa sulle pendici del monte Zovo. Giuseppe stava lavorando sul terrazzo di casa, vicino alla chiesetta del Caravaggio. Alzando lo sguardo vide un oggetto nel cielo. «Pensai ad un deltaplano o a un parapendio - racconta - perché non ho sentito alcun rumore di motore. Poi, fissandolo meglio, ho notato la forma circolare. L'oggetto avanzava lentamente, era di colore grigionero, ho visto distintamente nella parte superio-







Qui sopra: l'immagine scattata da Giuseppe Giacomelli.
A destra: il giovane che ha «catturato» l'oggetto con la macchina fotografica.
A sinistra: la troupe di «Verissimo» ieri pomeriggio a Calalzo.

usi un computer». Gli danno credito i genitori, anziani pensionati, gli amici di Calalzo cui ha fatto vedere l'eccezionale istantanea. Ma hanno ritenuto l'episodio degno di essere raccontato a tutti gli italiani i giornalisti di «Verissimo», il programma pomeridiano di Canale 5, saliti a Calalzo ad intervistare Giuseppe Giacomelli; il servizio andrà in onda oggi alle 17.45. Giuseppe, con i piedi per terra, continua a guardare in cielo. «Non ho più visto nulla, e non ho paura».

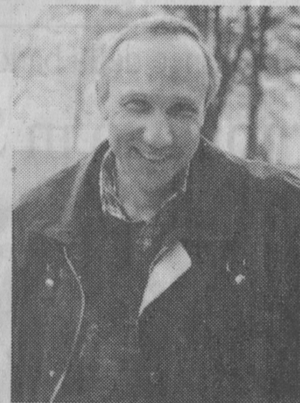
Lucio Eicher Clere

IL COMMENTO DELL'ESPERTO

«Un'immagine chiarissima Non è un fotomontaggio»

Calalzo

(le) «Lo scorso anno la provincia di Belluno ha avuto un picco nell'avvistamento di Ufo». Antonio Chiumiento, professore di Pordenone, uno dei massimi esperti in Italia in ufologia, segue con attenzione di ricercatore ogni caso che gli venga proposto per un esame di attendibilità. E l'avvistamento di Giuseppe Giacomelli lo ha colpito. «In 21 anni - dice - questo è il caso fotografico più importante che mi sia capitato. Un'immagine diurna chiarissima senza alcuna possibilità di essere considerata un fotomontaggio o una contraffazione». Chiumiento ha svolto un'indagine accurata sull'avvistamento di Giacomelli e ne conferma l'attendibilità. «La testimonianza di Giuseppe - sostiene - ha il massimo coefficiente di attendibilità. È un ragazzo semplice e piuttosto riservato. È stato il suo ex datore di lavoro, Antonio Iafrate, a mettersi in contatto con me perché valutassi l'importanza della fotografia».



Gli avvistamenti avvenuti nello stesso periodo in Cadore, testimoniati da più persone, dovrebbero far pensare anche i più scettici. «È impossibile convincere chi è prevenuto - dice Chiumiento - ma l'assoluta attendibilità di una testimonianza come quella di Calalzo dovrebbe porre il problema di un confronto aperto e scientificamente rigoroso. È quello che io sto facendo, con oltre mille casi documentati. Chi volesse segnalare avvistamenti analoghi mi chiami allo 0434-554352».

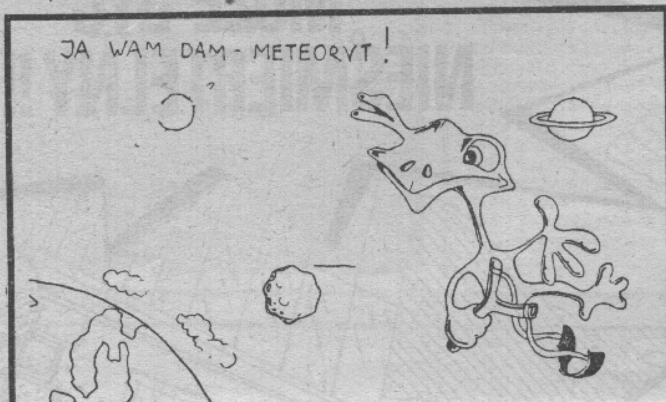
OD REDAKTORA

Na początek wyjaśnienie, które — myślę — należy się wszystkim naszym Czytelnikom: kiedy dwa miesiące temu pisałem w tym miejscu, iż na ogólne życzenie rezygnujemy w „Sfinksie" z opowiadań SF, miałem na myśli wyłącznie formy większe. Nie dotyczy to natomiast w żaden sposób naszego stałego konkursu na najkrótsze opowiadanie, który kontynuujemy, oczekując stale na kolejne propozycje. W następnym, marcowym numerze, zamieścimy kilka tych opowiadań, poddając je ocenie Państwa.
W wielu listach, które codziennie napływają do redakcji, prosiliście Państwo o szersze zaprezentowanie różnego rodzaju czasopism o tematyce zbliżonej do naszej: udało nam się nawiązać kontakt z „Esoterą" — miesięcznikiem wydawanym w Austrii. Prezentujemy więc dziś to właśnie wydawnictwo, zapowiadając w następnych numerach kolejne. I jeszcze jeden problem do rozstrzygnięcia: krzyżówka „Sfinksa". Jak się okazuje, ma tyluż przeciwników, co i zwolenników... Krakowskim targiem proponujemy dziś w jej miejsce konkurs. Czy takie rozwiązanie Państwu odpowiada? Prosimy o listy w tej sprawie.
A jeśli już o listach: dostaliśmy ich sporo w związku z artykułem pani Kai Szymańskiej, która opisała w nim swoje wieloletnie doświadczenia z modelem — repliką piramidy Cheopsa. Na każdy z nich piszący otrzymają wyczerpującą odpowiedź, a dodatkowo jeszcze w następnym numerze „SFINKSA" ukaże się wywiad z panią Szymańską i zdjęciami jej piramidy. Na pytania odpowiadają także specjaliści z Polskiego Towarzystwa Psychotronicznego i „Antrovisu" — nowego stowarzyszenia, o którym piszemy w tym numerze. Mam nadzieję, że kolejne wydanie „Sfinksa", które trzymają właśnie Państwo w swoich rękach, usatysfakcjonuje jeśli nie wszystkich, to przynajmniej większość: tematyka poszczególnych publikacji, to nic innego jak realizacja propozycji naszych Czytelników. Czekamy na kolejne listy i opinie.

MACIEJ ALEKSANDER JANISŁAWSKI

W NUMERZE:

Rys. TOMASZ CYPELT

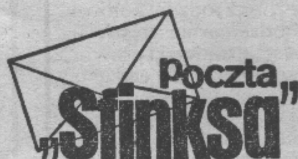


KONKURS „Sfinks”a

Nasz konkurs jest bardzo prosty: wśród tych wszystkich z Państwa, którzy odpowiedzą prawidłowo na przynajmniej pięć z zamieszczonych poniżej dziesięciu pytań, i nadeślą swoje odpowiedzi do redakcji w terminie do 15 marca br., rozlosowanych zostanie 5 nagród rzeczowych: będą to kasety magnetofonowe „Athanora" i sprzęt psychotroniczny opracowany w Polskim Towarzystwie Psychotronicznym.
Odpowiedzi należy nadsyłać na adres redakcji „SFINKS", 00-976 Warszawa, Al. Lotników 1, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs".

1. Jak brzmi nazwisko lekarza, który zaproponował leczenie kwiatami?
2. Jak nazywany jest powszechnie rejon pomiędzy Bermudami, Florydą a Puerto Rico?
3. Jak brzmi nazwa podobnego rejonu w pobliżu Japonii?
4. Od dłuższego czasu trwają spory wśród uczonych, kto i po co zbudował potężny taras w pewnej miejscowości w Libanie. Proszę podać nazwę tej miejscowości.
5. Kto, kiedy i w jakich okolicznościach użył po raz pierwszy nazwy „Latające Talerze"?
6. Jakiej narodowości jest słynna bioenergoterapeutka, Dżuna Dawitaszwili?
7. Jaki gatunek ryb odbywa swoje tarło w Morzu Sargassowym?
8. Jak nazywał się admirał turecki, którego mapy po dziś dzień stanowią jedną z największych zagadek współczesnej nauki?
9. W jakim kraju znajduje się miejscowość Tiahuanaco, słynna z Bramy Słońca?
10. Kim jest Charles Berlitz?

■



Pierwszym numerem „Sfinksa" który wpadł mi w ręce był niestety dopiero numer piąty. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pismo to tak bardzo mnie zafascynuje. Ja i moja koleżanka (mieszkam w internacie) czytamy wszystkie artykuły i dyskutujemy na ich temat.(...) „Sfinks" dostał się w moje ręce przypadkowo, a teraz bardzo często wracam do poprzedniego numeru. To naprawdę świetne czasopismo, lecz w kiosku wśród innych pism nie rzuca się w oczy (niestety!). Może warto by było poprawić jakość papieru? Ten papier zbyt szybko się niszczy, nie oddaje tego, co zawiera pismo. Mam nadzieję, że z tym problemem uporacie się szybko.

Wasza czytelniczka i zwolenniczka z kaliskiego

Jestem pod wrażeniem Waszego wyśmienitego czasopisma. W czasach Wodnika jest ono bardzo potrzebne. Czytam je z uwagą, bo podobnymi zjawiskami interesuję się od lat. Problem w tym, że trudno w moim mieście nabyć ten miesięcznik...

Marian Ciepliński z Pabianic

Po ukazaniu się „Sfinksa", kupiłem jeden numer zachęcony tematami artykułów. Od tamtego czasu zawsze czekam na kolejny numer. Oby tak dalej! Nowe tematy, dobre źródła, coraz lepsze opracowania to dobra droga do poprawienia jakości „Sfinksa". Na rynku prasowym brakowało dotychczas pisma poruszającego takie tematy, jakie Wy polecacie. Myślę, że wszyscy czytelnicy czytają „Sfinksa" od deski do deski — podobnie jak ja. Pragnąłbym jedynie, aby „Sfinks" ukazywał się częściej. np. jako dwutygodnik i aby był lepszy papier.

Bogdan Antonów z Łaszczowa

Mariola Mrzygłocka z Warszawy, Władysława Siwiec z Gilowic, Bożena Frączkiewicz z Krakowa, Ryszard Rauer z Czechowic: wczasy psychotroniczne są organizowane często, przede wszystkim w terminach wiosenno-jesiennych. Różnią się podejmowaną tematyką. I tak — wczasy organizowane przez „Polczek" oraz psychotronika Lecha Emfazego Stefańskiego dotyczą przede wszystkim doskonalenia umysłu, synchronizacji półkul mózgu, hipnozy, auroskopii i digitopunktury. Wczasy w Sosnówce k/Karpacza mają następujący blok tematyczny: riberthing, digitopunktura, masaże indywidualne. Obecnie nie są jeszcze wyznaczone dokładne terminy. Szczegółowe informacje: wczasy w Bielsku Białej (ATHANOR, Warszawa, PKiN, Muzeum Techniki), wczasy w Sosnówce — DW „LUBUSZANIN", 56-564 Sosnówka Górna woj. jeleniogórskie, tel. Miłków 405.

Iwona Chmiel z Pszczyny, Leszek Prozorowicz z Sulęcina, Jacek Krajewski z województwa rzeszowskiego, Paweł Stankiewicz z Koszalina: kasetę Samo-super-nauczanie wraz z broszurką, kasety Synchro-Theta-1 i Synchro-Theta-2 oraz kasety „Kurs Doskonalenia Umysłu" można nabyć w punkcie informacyjno-handlowym Warsztatów Psychotronicznych ATHANOR, Warszawa, PKiN, Muzeum Techniki (czynny codziennie oprócz poniedziałków w godz. 11—15). Niestety, punkt nie prowadzi sprzedaży wysyłkowej.

Redakcja

■

SFINKS — świat pełen tajemnic



Redaguje zespół: Maciej A. Janisławski (redaktor naczelny), Elżbieta Janisławska-Mazurkiewicz, Iwona Kozieł, Lucyna Łuczyńska (sekretarz redakcji), Czesław Rychlewski. Fotoreporter — Jan Balana. Opracowanie graficzne i redakcja techniczna — Wiesław Galiński.

Stale współpracują: Elżbieta Boroń (Kraków), Krzysztof Bułłyszko, Joanna Brońska, Anna Dąbrowska, Jerzy Domański, Wojciech Kmita, Robert Leśniakiewicz (Zakopane), Konrad T. Lewandowski, Lech Emfazy Stefański (Warsztaty Psychotroniczne ATHANOR), Bogna Wernichowska (Kraków), Andrzej Markert, Dariusz Zientalak, Jurij Stoma (ZSRR), Brzetislaw Pleszko (Czechosłowacja).

Adres redakcji Al. Lotników 1 00-976 Warszawa. Telefon: 43-24-72. Wydawca: PRZEDSIĘBIORSTWO WYDAWNICZO-HANDLOWE „SFINKS" Sp. z o.o. Przewodniczący rady nadzorczej: Zbigniew Józef Adamczyk. Skład i łamanie *ComSet* — ul. Lwowska 2A m. 13, tel. 25-70-13. Druk: Wojskowe Zakłady Graficzne, Warszawa, ul. Grzybowska 77.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych tekstów i ilustracji, zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. Przyjmujemy ogłoszenia. CENA 1 cm² — 3000 zł (wewnątrz numeru). 1 cm² na tylnej okładce — 5000 zł. Cała tylna okładka — 1,5 mln zł. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

ZE „SFINKSEM” na wtajemniczenia

ZE „SFINKSEM” NA WTAJEMNICZENIA!!!

GRECJA – ELEUSIS – 1992

Wznawiamy Misteria Eleuzyńskie!

Tak samo, jak kiedyś (w roku 1896) wskrzeszono Olimpiady.

Wiemy, jak to zrobić.

Pojedź z nami, a nie pożałujesz!

Jak wiemy z artykułu L.E. Stefańskiego „Zagadka starogreckich misteriów... i jej rozwiązanie”, (Sfinks nr 8/91) Misteria Eleuzyńskie w czasach starożytnych były w swojej istocie ćwiczeniami duchowymi (medytacyjnymi, wizualizacyjnymi, oddechowymi, muzyczno-ruchowymi) odzianymi w szatę symboliczno-liturgiczną. Tajemną praktykę duchową skrywała owa szata rytuału – i to nie tylko przed profanami, lecz także przed mistami, zafascynowanymi barwną obrzędowością Wtajemniczeń.

Wskrzeszone po przerwie trwającej ponad piętnaście stuleci, dzisiejsze Wtajemniczenia Eleuzyńskie obejmują współczesne odpowiedniki swoich starożytnych pierwowzorów: Katharmos, Myesis, Telete, Epoptia. Zajęcia odbywane w ruinach Sanktuarium Wielkich Bogiń w Eleusis składać się będą z ćwiczeń oraz omówień teoretycznych. Zajęcia seminaryjne i treningi:

- **ćwiczenia wizualizacyjne „epoptia” (system zbliżony do amerykańskiego Mind Control lub polskiego Doskonalenia Umysłu),**
- **ćwiczenia medytacyjne „myesis” (technika podobna do Transcendentalnej Medytacji),**
- **ćwiczenia słuchowe „epoptia”, synchronizujące elektryczną aktywność obu półkul mózgu (oparte głównie na systemie Synchro-Theta),**
- **ćwiczenia oddechowe „telete” (częściowo wzorowane na hinduskiej pranajamie i na amerykańskim Rebirthingu),**
- **ćwiczenia medytacyjno-ruchowe „choreja” z towarzyszeniem autentycznej muzyki starogreckiej,**
- **seminarium sztuki mantycznej „prognostikon”.**

Omówienia teoretyczne dotyczą następujących tematów:

„Eleusis jako jedno z wielkich Miejsc Mocy”,

„Zagadnienie Jedności Bytu u filozofów starożytnej Grecji”

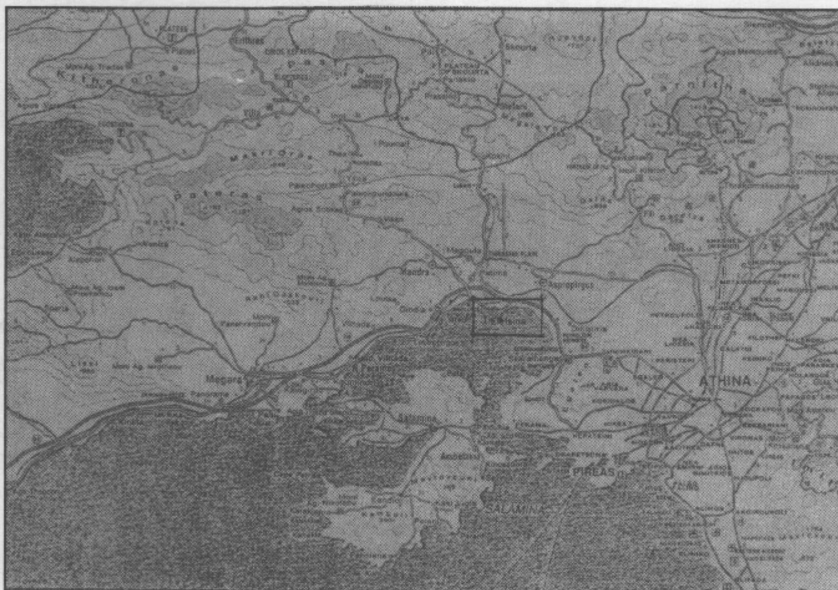
„Mit Demeter dla nas żywy”.

Zajęcia poprowadzi zespół mistagogów pod kierunkiem **Lecha Emfazego Stefańskiego.**

Pomysł wznowienia Wtajemniczeń Eleuzyńskich – wprawdzie w zmienionej formie, ale z zachowaniem ich autentycznych treści – wiąże się z głębokim przekonaniem, że starożytne określenie *genius loci* (czyli duch miejsca, po grecku *„dajmon”*) jest nie tylko poetycką metaforą. W ruinach telesterionu, na tych samych miejscach wykutych rzędami w skale, gdzie w dawnych wiekach przeżywano emocje wtajemniczenia, zasiądą znów mistowie. Będą w zmienionym stanie świadomości. Wsłuchają się w echa wydarzeń sprzed tysiącleci. Czy odbiorą jakieś przesłania?...

W drukowanym w „SFINKSIE” cyklu artykułów „Przesłanie z miejsc Mocy” wybitny badacz i znawca przedmiotu, Leszek Matela, omawia takie możliwości z punktu widzenia radiestezyjnego i parapsychologicznego. O tym, że bywają one dostępne nie tylko nielicznym wybrańcom losu, przekonujemy się odczuwając szczególną atmosferę we wnętrzach starych kościołów. W specjalnie do tego przygotowanych warunkach zapewne każdy z nas może odebrać coś więcej...

W naszej wyprawie nie zabraknie czasu także na zwiedzanie oraz kontemplowanie zabytków duchowej kultury dawnych Greków. Obejrzymy skarby Aten i Salonik. W Delfach zatrzymamy się w przybytku Apollina, w miejscu, gdzie przed wiekami jasnowidzące Pytie odpowiadały na najtrudniejsze pytania pielgrzymów. Napijemy się ze źródła Kastalskiego, którego woda dawała natchnienie autorom heksametrów. Znajdziemy się w świętym okręgu Ateny Pronajon (Opiekunki). Zasiądziemy w kamiennym teatrze, gdzie wsłuchamy się w echa tyrad Elektry i Orestesa, w ruinach Koryntu zatrzymamy się przy wykutej ze skały mównicy, z której święty Paweł głosił Dobrą Nowinę. W Tirynsie przejdziemy po murach zamczyska, będącego już w czasach Homera legendarną budowlą, wzniesioną przez olbrzymów. Odwiedzimy tonące w mroku pradziejów budowle Myken. Pobyt pośród wykopalisk Epidauros pozwoli nam poznać i odczuć potęgę starożytnej psychoterapii.



Impreza ZE „SFINKSEM” NA WTAJEMNICZENIA jest wyprawą autokarową trwającą trzy tygodnie, wliczając w to dzień wyjazdu (rano) i dzień powrotu. Przewidywany dzień wyjazdu: 24 kwietnia 1992 r. Dzień powrotu: 14 maja. Uczestnicy zabierają ze sobą własne namioty, koce lub śpiwory, ponieważ będziemy mieszkali na campingu w Eleusis. Warto też zabrać kuchenki gazowe, aby można sporządzać ciepłe, proste posiłki. Kwota, którą wnosi uczestnik imprezy, stanowi opłatę za przejazdy tam i z powrotem oraz za wycieczki po Grecji (łącznie z biletami wstępu do muzeów i na tereny wykopalisk), a także za wszystkie zajęcia składające się na Wtajemniczenia. Uczestnik sam opłaca pobyt na campingu i wyżywienie. Wobec wyrównania cen żywności, wożenie jej z Polski do Grecji stało się niecelowe. Przybliżone ceny opłat na campingu i podstawowych artykułów spożywczych podamy w następnym komunikacie na temat WTAJEMNICZEŃ. Wkrótce będziemy już mogli skalkulować główny koszt udziału w imprezie (przejazdy i zajęcia).

Wybierz się ZE „SFINKSEM” NA WTAJEMNICZENIA!

Dokąd?

Będzie to podróż w przestrzeni i w czasie: do źródeł europejskiej kultury, do korzeni naszego Ducha.

Po co?

Po radość, po zdrowie. Aby poznać samego siebie.

Aby lepiej funkcjonować w życiu codziennym.

Po to, aby przeżyć wielką Duchową Przygodę.

Ta podróż wzbogaci Twoją psychikę, pozwoli poczuć się szczęśliwszym.

Szczegóły w najbliższym czasie. Czekamy na zgłoszenia!

REDAKCJA

Otrzymuję regularnie, co dwa miesiące, czasopismo (biuletyn) wydawany przez AAS. AAS to skrót od Ancient Astronaut Society - organizacji założonej przez Ericha v. Daenikena. W czasopiśmie tym ukazują się nieraz materiały zgoła interesujące. Autorem jednego z takich artykułów, który znalazł się w pierwszych numerach tego roku jest Wiedeńczyk Peter Krassa.

Peter Krassa to na ogół autor wiarygodny. Spośród wielu książek, które napisał, jedną - **„Światło dla faraona"** - próbowałem zainteresować nasze oficyny wydawnicze. Niestety, bez skutku.

Otóż Krassa, wspomniany artykuł poświęcił zupełnie niezwykłej wiadomości, jaką otrzymał z Rumunii. Nie będę tu opisywał szczegółowo, jaką drogą informacje te dotarły do autora.

Szczegóły świadczą, iż wiadomość nie jest dziełem fantazji. W każdym razie podaję ją czytelnikom „Sfinksa" na odpowiedzialność autora...

Jest we wschodniej Rumunii miasto będące stolicą prowincji - Jassy. Jassy leżą niedaleko granicy ze Związkiem Radzieckim i liczą dzisiaj ok. 250 tys. mieszkańców. Rozpoczęto tu ostatnio prace przy restaurowaniu jednego ze starych budynków w centrum miasta. Podczas prac przy odnawianiu fundamentów tego budynku, robotnicy natknęli się nagle na wiodący w głąb ziemi otwór, przykryty okrągłą, metalową płytą o średnicy trzech metrów. Natychmiast zawiadomiono o odkryciu geologów i archeologów, którzy postanowili dokładnie ją zbadać. Na razie odkryciu towarzyszą same znaki zapytania - twierdzi Krassa. Nie udało się stwierdzić technologii produkcji samej płyty, ani jak została umocowana. Dochodzą słuchy, że technologia ta nie ma nic wspólnego z technologią współczesną. Ale to dopiero początek zagadek.

Bowiem, obok metalowej płyty, eksperci odkryli czternaście okrągłych, wyrytych na kamieniach pochodzenia wulkanicznego, geometrycznych piktogramów. Cztery z nich ukazują dziwnie odziane istoty ludzkie z długimi ogonami.

Wokół każdej z tych postaci - kontynuuje Krassa - widnieją podwójne kręgi rysunków. Krąg wewnętrzny utworzony jest z jakichś nieznanych liter, czy symboli, czy też znaków graficznych. Natomiast krąg zewnętrzny, gdy mu się dobrze przyjrzeć, składa się jak gdyby z kłębowiska czegoś w rodzaju dinozaurów. Oczywiście, z miejsca nasuwa się pytanie, czy mamy tu do czynienia z jakimiś istotami ludzkimi sprzed 60-70 milionów lat, kiedy to żyły na Ziemi wielkie jaszczury?

Pytanie wydaje się nonsensowne, ale Krassa słusznie przypomina kolekcję kamieni profesora Cabrery z Ica, o której i ja pisałem w mojej książce **„My z kosmosu"**. Na kamieniach tych ludzie baraszkują z brontozaurami i innymi dinozaurami. Warto przypomnieć też, że przecież w Texasie (Paluxy River) odkryto ślady stóp ludzkich obok śladów dinozaurów wyrytych na podłożu skalnym.

I dalszy ciąg tej historii. Za pomocą dźwigów udało się unieść metalową płytę. Oczom naukowców ukazało się wejście do opadającego w głąb ziemi korytarza, o długości ok. 10 metrów. Ściany tego korytarza pokryte były granitowymi płytami.

Odpowiednio zabezpieczeni naukowcy zeszli korytarzem w dół i znaleźli się w pomieszczeniu o wysokości ok. 3, długości - 4,8 i szerokości 3,6 metrów. Ściany tego pomieszczenia były również pokryte idealnie wygładzonymi blokami kamiennymi, które tak dokładnie przylegały do siebie, że nie można było wetknąć między nie żyletki, co znamy zresztą i z innych budowli megalitycznych, jak w Tiahuanaco czy w Gizie (piramidy!)

W jednej ze ścian tego pomieszczenia widniał otwór prowadzący do następnego tunelu. Miał on 4,4 m wysokości, a szerokości 1,6 m. Długość jego była znacznie większa od poprzedniego - wynosiła bowiem 450 metrów. Ten korytarz ciągnął się opadając pod kątem 30 stopni, tak, że kończące go pomieszczenie znajdowało się poniżej poprzedniego o 78, a poniżej wejścia przykrytego metalową płytą, o 90 metrów.

To drugie pomieszczenie - pisze Krassa - również pokryte było kamiennymi płytami. Jedną z jego ścian zdobił granitowy blok z lejkowatym wydrążeniem, w którym tryskało źródło. (Krassa tego nie podaje, ale należy sądzić, że woda spływa gdzieś z tyłu w ziemię).

I teraz gwóźdź całej historii: wodę z tego źródła poddano bardzo dokładnym badaniom we wszystkich możliwych instytutach naukowych. Okazało się, że ma ona niezwykłe właściwości lecznicze. Bo oto, jak informuje Krassa, zwierzęta laboratoryjne, którym zaszczepiono komórki rakowe, po trzytygodniowej kuracji wodą ze źródła, były całkowicie wyleczone. To znaczy, jak przypuszczają naukowcy, ich organizm nabył zdolności zwalczania nowotworu. Innymi słowy, woda ta ma właściwości pobudzające system obronny organizmu (jak torf). Przypuszcza się także - pisze Krassa - iż woda ma także właściwości przedłużające ludzkie życie.

Co już zdecydowanie podaję na odpowiedzialność autora...

W każdym razie, aby uniemożliwić próby wykorzystania wody z podziemia, różnego rodzaju znachorom czy szarlatanom, wejście do tunelu zostało zamknięte ciężką betonową płytą. W ciągu dwu - trzech lat mają zostać podjęte na większą skalę badania naukowe wody z podziemnego źródła.

Tyle Krassa. Wobec tego, że nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia, informacji tej nie będę kontynuował. Najwyżej dodam, że postać ludzka z okrągłego ornamentu przypomina bardzo podobne rysunki z Ameryki Środkowej czy Południowej. Rysunki z epoki przedkolumbijskiej.

O ile mnie pamięć nie myli i tam podobne postacie ludzkie miały ogon zwierzęcy, co jest prawdopodobnie jakąś ozdobą rytualną.

Gdyby ktoś z czytelników miał na temat odkrycia w Jassach jakieś dodatkowe informacje lub uwagi, będę bardzo wdzięczny za przekazanie ich pod adresem redakcji.

ARNOLD MOSTOWICZ

CUDOWNA WODA Z JASS

zione i opublikowane. Problem – z punktu widzenia popularyzatorów paleoastronautyki – polega na tym, że owe autorytety (w swych dziedzinach) nigdy lub prawie nigdy nie ryzykują interpretacji starożytnych tekstów, a jeśli już, to starają się je wtłoczyć w uznane schematy. Weźmy na przykład bardzo ciekawą pracę naukową etnologa i filozofa Hervé Rousseau „Bóg zła", z 1963 r. W jednym z rozdziałów analizuje on sławną (głównie dzięki Daenikenowi) apokryficzną Księgę Henocha. Księga owa opisuje, znany skądinąd, „bunt aniołów" pod wodzą Semyaza i Azazela. Jest to ta sama historia, o której opowiada Księga Genezis, kiedy to, wbrew odgórnemu zakazowi, „synowie boży" łączyli się z ziemskimi kobietami, płodząc w rezultacie „olbrzymów". Otóż Księga Henocha przypisuje tym „boskim bękartom" odpowiedzialność za niegodziwość, która zaczęła się rozprzestrzeniać po całym świecie, i która wreszcie przekonała Boga, że występuje tu daleko idąca analogia do mitu greckiego o Tytanach, którzy najpierw zabili i pożarli Dionizosa, a potem, po straszliwej walce, zostali pokonani przez Zeusa. (W Księdze Henocha także czytamy, że olbrzymi „pożerali wszystko".)

Rousseau pisze: „Analogiczny mit znajdujemy w Księdze Jubileuszów, w której przywódca upadłych aniołów, „Strażników", nosi imię Mastema".

Ciekawe jest to, że według Księgi Henocha to właśnie ci, zbuntowani aniołowie, nauczyli ludzi wszystkich umiejętności, a nawet zaklęć i czarów. Jest to zgodne z przekazami sumeryjskimi. Podobna zgodność występuje między rewelacjami Sitchina o tym, iż homo sapiens został pomyślany i stworzony przez „bogów" jako biorobot do prac wydobywczych – z tym oto fragmentem „Metamorfoz" Owidiusza: „Prometeusz ukształtował człowieka na podobieństwo bogów rządzących światem."

Przyznajmy, że wszystko to brzmi co najmniej niepokojąco. Ale posiadamy jeszcze jeden skłaniający do zastanowienia przekaz – zresztą chyba z najbardziej popularny z całej literatury starożytności. Myślę o opisie Atlantydy u Platona. Wczytajmy się w niniejszy passus:

„Jak mówiliśmy poprzednio o przydziałach bogów, co podzielili między siebie całą ziemię... tak też i Posejdon dostał w udziale wyspę Atlantydę i osadził w jednej części wyspy potomków swoich z kobiety śmiertelnej. (...) Bogowie posiadali bogactwo tak olbrzymie, że trudno sobie wyobrazić, by kiedykolwiek powstało podobne..."

Przyjrzyjmy się sformułowaniom, jakich używa Platon. Czyż nie odnosi się wrażenia, że mówi o jakichś rzeczywistych istotach, a nie o postaciach mitologicznych? Dowiadujemy się oto, że bogom bynajmniej nie wystarczał Olimp – że podzielili między siebie całą Ziemię. Następnie ten bulwersujący nas obyczaj związków seksualnych ze śmiertelnymi kobietami... podobnie jak owi „synowie boży" z Księgi Genezis. I wreszcie termin „bogactwo". Nie jest to termin religijny, ani nawet mitologiczny: normalnie przypisuje się bowiem istotom nadprzyrodzonym wielką moc, cudowne możliwości itp. – termin „bogactwo" pasuje tymczasem do istot jak najbardziej przynależnych do świata materii; ceniących wygodę i dostatek, a być może i przepych.

Jest ciekawe, że – á propos Atlantydy – dysponujemy dwoma współczesnymi świadectwami, które wykazują daleko idącą zgodność. Pierwsze z nich wydobył Joseph Blimrich od Indian Hopi. Drugie jest autorstwa zmarłego dr. Daniela Fry'a i pochodzi rzekomo od istot kosmicznych, z którymi – jak utrzymywał – miał sporadyczne, acz treściwe, rozmowy. Według obu tych relacji Atlantydę zgubili jej własni mieszkańcy, którzy powodowani agresywnymi zamiarami względem świata, wynaleźli potworną broń, znacznie potężniejszą od jądrowej i przypadkiem spowodali jej wybuch u siebie. (Platon zresztą także pisze, że chcieli oni zawładnąć Grecją i zostali pokonani.)



Wobec tych „aniołów" starożytne przekazy często używają terminu „strażnicy" – co koresponduje z odkryciami Sitchina. Wiąże się z tym jednak zdecydowanie najtrudniejsza kwestia całej poruszanej tu problematyki. Jest to fakt powszechności mitu o grzechu pierworodnym: o nieposłuszeństwie okazanym Bogu – lub bogom.

Czasy nowożytne wydały wielu filozofów i pisarzy – od Miltona, poprzez Bakunina do Anatola France'a – którzy wskazywali na niemoralność boskiego zakazu broniącego ludziom dostępu do wiedzy i nieśmiertelności; w tej perspektywie Lucyfer (czyli dosłownie: „Ten, który niesie światło" – a więc postać bliska Prometeuszowi) stawał się bohaterem pozytywnym. Warto przy okazji przypomnieć, że ta „bezbożna" i obrazoburcza interpretacja nie narodziła się bynajmniej w naszych sceptycznych czasach, ale sięga co najmniej II wieku naszej ery. Wtedy to bowiem Marcjon założył sektę, która czciła węża – jako tego, który chciał pomóc ludziom w ich sprawiedliwej walce z Jahwe. Był to zresztą rys wielu gnostyckich herezji, które głosiły tezę, iż nasz stwórca bynajmniej nie jest godny uwielbienia. Jacques Lacarriere, w książce „Gnostycy" z 1973 r., pisze o tym w sposób, który przypomina pióro Daenikena: „Kosmologia i antropologia gnostyków naznaczone są piętnem owego kosmicznego traumatyzmu, jakim było przedwczesne pojawienie się człowieka. Błąd aniołów, w skutek czego zostaliśmy rzuceni w świat... Zrodzona w ten sposób istota nie była jeszcze człowiekiem... Za skomplikowanymi meandrami gnostyckiej mitologii kryje się oczywista prawda: oto wszyscy jesteśmy wcześniakami. (...)

Jesteśmy jak poczwarki, za wcześnie zerwano z nas ochronny kokon."

Arnold Mostowicz zwraca uwagę jak wiele ludów – łącznie z Sumerami – nazywało swoich bogów „strażnikami". Może więc Eden, z którego wygnano pierwszych ludzi za pomocą miecza ognistego (ręcznego lasera?), nie był znowu takim rozkosznym miejscem?

Cóż, wszystko to są oczywiście spekulacje. Chciałbym jednak na zakończenie powrócić do teraźniejszości, a konkretnie do sposobu, w jaki odnoszą się do nas załogi kosmicznych pojazdów, czyli UFO. Otóż, wbrew nadziejom i przekonaniom milionów entuzjastów **kontaktu** między homo sapiens a homo celestis – nie sposób doszukać się w przypadkach pojawienia się Kosmitów choćby intencji równości. Przykra, nawet dramatyczna prawda brzmi tak, że dla Kosmitów jesteśmy jedynie obiektem badań; i to badań często bolesnych i upokarzających.

Nie leży w moim zamiarze szerzenie paniki, która zresztą nic by nie dała – chodzi o to, że bronić się można tylko wtedy, jeśli będzie się zdolnym do nazywania rzeczy po imieniu. Nigdy nie doszło do otwartego, prowadzonego w atmosferze bezpieczeństwa dialogu reprezentantów obu stron, wszelkie domysły co do zamiarów ufonautów (którzy w dodatku, jak twierdzą niektórzy świadkowie, mieliby... walczyć między sobą!) są więc jedynie czystą fantazją. Wydaje mi się jednak, że zbliżamy się właśnie do przełomu we wzajemnych stosunkach. Wyznaczy go po pierwsze: skonstruowanie i upowszechnienie broni laserowej, która zapewne skutecznie zagrozi UFO, a po drugie: skonstruowanie pojazdów napędzanych magnetycznie (co jest kwestią 15-20 lat), które to pojazdy będą mogły, jak się przypuszcza, dogonić „latające talerze".

Będzie to moment, kiedy ich załogi będą musiały wystąpić oficjalnie – albo się wynieść. Otóż, jeśli dojdzie do tego pierwszego wariantu, warto – myślę – pamiętać, że jak do tej pory nie udało się udowodnić, że rozum musi oznaczać dobro.

PIOTR SKÓRZYŃSKI



USAC
CENTRO
ACCADEMICO
STUDI
UFOLOGICI
Sede: Via Baccanazza, 13
45030 S. M.
MADDALENA (Ro)
ITALY
TEL. (0425) 757369

U S A C
CENTRO ACCADEMICO
STUDI UFOLOGICI
Via Baccanazza, 13 - Tel. (0425) 757369
45030 S. M. MADDALENA (RO) - ITALY



Kilka tygodni temu nawiązaliśmy kontakty (mamy nadzieję, że okażą się one owocne) z USAC Centro Accademico Studi Ufologici we Włoszech. Prezentujemy dziś naszym Czytelnikom dwa materiały nadesłane nam przez szefa tej grupy, pana Sebastiana Di Gennaro. Pierwszy z nich opowiada o niesamowitych ,,spotkaniach'' pilotów wojskowych, drugi – o tajemniczym znalezisku i próbach jego zbadania.

CO NIEPOKOI EKSPERTÓW LOTNICZYCH?

Podniebny TERROR

Często zaczyna się to pojawieniem światła na niebie i często kończy tragicznie dla tych, którzy to widzą.

Zderzenia dwóch samolotów w powietrzu są przerażające, podczas gdy zderzenia z udziałem samolotu i niezidentyfikowanego obiektu latającego są o wiele rzadsze i bardzo dziwaczne.

W pewien wiosenny wieczór samolot transportowy Sił Powietrznych wyleciał z bazy lotniczej McChord, niedaleko Tacoma, w stanie Washington na nocny treningowy lot sprawnościowy.

Porucznik Robert R. Dimick, porucznik Thomas Lasater, sierżant Arthur T. Foote i sierżant Guy J. Cunningham nie byli świadomi losu oczekującego ich na nocnym niebie.

Był 1 kwietnia 1959.

O 6:29 wieczorem, samolot C-118 (wojskowa wersja samolotu DC-6B) znalazł się w powietrzu. Przez następną godzinę porucznik Dimick, pilot, oraz porucznik Lasater, drugi pilot, ukończyli serię rutynowych podejść do lądowania w bazie McChord.

Następnie wielki czterosilnikowy transportowiec przeleciał nad obszarem stanu Washington, podczas gdy specjalne elektroniczne urządzenia były testowane na pokładzie samolotu i na ziemi.

Lot przebiegał bez przeszkód, po czym C-118 wracał do bazy McChord. Porucznik Dimick był prowadzony przez radarową kontrolę lądowania, następnie wykonał trzy lądowania z natychmiastowym startem. Podczas czwartego i ostatniego podejścia do lądowania otrzymał polecenie powstrzymania się i krążenia w powietrzu, aby eskadra odrzutowych myśliwców mogła wylądować.

Dimick potwierdził odbiór polecenia i zaczął krążyć poniżej chmur, na wysokości 2000 stóp.

Po wylądowaniu odrzutowców Dimick otrzymał kurs 220 stopni na lądowanie. Kilka chwil później jego następna wiadomość zdziwiła kontrolerów ruchu powietrznego.

,,Uderzyliśmy w coś, lub coś w nas uderzyło!'' krzyczał Dimick i prosił o natychmiastowe lądowanie bez okrążenia lotniska.

Podczas gdy porucznik Dimick ostrożnie manewrował swym uszkodzonym samolotem poprzez niebo, kontrolerzy radarowiu zastanawiali się co się mogło wydarzyć.

Podczas zbliżania się do lotniska, Dimick wysłał międzynarodowy sygnał pomocy – ,,Mayday''– i powiedział, że będzie starał się dotrzeć do bazy.

Nigdy tego nie dokonał.

Jego ostatnia wiadomość nadeszła o 8:19 wieczorem, gdy kontrolerzy usłyszeli jak cicho powiedział: ,,to jest to''.

C-118 rozbił się pięć mil na południe od Sumner, w stanie Washington, zabijając całą czteroosobową załogę.

Kilka incydentów, które wystąpiły przed i po katastrofie, jedynie pogłębiło zagadkę.

Seria nie wyjaśnionych eksplozji wstrząsnęła północnym Seattle o siódmej godzinie. Dwadzieścia minut później miastem zatrzęsła powietrzna eksplozja, która powybijała szyby w oknach i spowodowała inne zniszczenia.

O 7:45 wieczorem UFO zostało dostrzeżone przez mieszkańców Graham, miasta leżącego w pobliżu miejsca upadku C-118. Rzeczywiście, niezidentyfikowane obiekty latające były obserwowane przez cały wczesny wieczór – a dwa widziano, jak leciały za samolotem transportowym Sił Powietrznych.

Krótko po katastrofie stacja radiowa w Tacoma skontaktowała się z pułkownikiem Robertem E. Booth'em, dowódcą 1705 Powietrznej Eskadry Transportowej, w skład której wchodził rozbity C-118. Podczas rozmowy pułkownik Booth powiedział: ,,Wyglądałoby, że nastąpił pewien rodzaj powietrznej kolizji z nieznanym obiektem, który pojawił się przed katastrofą''. Było to zdumiewające stwierdzenie w świetle oficjalnej polityki, zabraniającej mówić cokolwiek do czasu pełnego zbadania sprawy.

Armia zapamiętale otoczyła teren katastrofy i nie dopuszczała nikogo – włącznie z reporterami i lokalną policją – na miejsce. Raz jeszcze wieko tajemnicy zatrzasnęło się, pogrążając świadectwa w mroku.

Tajemnica pogłębiła się, gdy przebadano szczątki. Nikt nie potrafił wyjaśnić niezwykłego stanu rozbitego C-118. Samolot został rozerwany na strzępy ponad wszelkie wyobrażenie i wyglądało, że został roztrzaskany o ziemię z ogromną siłą. Duża część stabilizatora poziomu (horizontal stabilizer) została oderwana. Odnaleziono trzy ciała, lecz czwartego nie odkryto.

Przedstawiciele Sił Powietrznych usiłowali skłonić do milczenia ludzi zamieszkujących teren wokół miejsca katastrofy. Oszołomionym mieszkańcom, którzy widzieli jaśniejące obiekty UFO, a następnie spadający transportowiec, powiedziano, by zachowali milczenie i nie rozmawiali o zdarzeniu.

Major Lawrence J. Tacker, oficer operacyjny (executive officer) z biura prasowego Sił Powietrznych, powiedział, że ,,nic nie wskazuje na to, iż UFO brało udział w wypadku''. Oficjalna odpowiedź nie stwierdzała, co uderzyło w wielki transportowiec, a incydent został odtąd sklasyfikowany jako primaaprilisowa katastrofa.

Lot nr 257 linii Pan American miał szczęście.

Dzięki szybkiej akcji pilota uniknięto zderzenia z ognistym UFO, który zbliżył się do DC-6 wysoko nad Atlantykiem.

Lot nr 257 odbywał się pośród czystego nieba, na trasie z Nowego Jorku do San Juan w Puerto Rico, nocą 9 marca 1957.

Aby uniknąć zderzenia z UFO, kapitan Van Winkle poderwał DC-6 gwałtownie do góry, zwiększając szybko pułap o 1500 stóp.

,,Instynktownie pomyślałem, że może to być inny samolot lecący z naprzeciwka

wprost na nas", powiedział Van Winkle. „Poderwałem samolot do góry i w bok. Ponieważ był on prowadzony przez autopilota, poderwałem go najwidoczniej zbyt mocno, tak że czterdzieści czworo pasażerów wyskoczyło ze swych foteli, gdy obniżyłem nos samolotu po szybkiej wspinaczce".

Po wylądowaniu cztery osoby odwieziono do szpitala z powodu szoku i obrażeń.

„W tym rejonie było wówczas około siedem maszyn", powiedział Van Winkle, „i wszystkie z nich zaobserwowały zielonkawo-biały okrągły obiekt, z pewnością nie meteor".

Rzecznik prasowy w bazie Sił Powietrznych Patrick na Florydzie powiedział, że obiekt „nie był pociskiem z naszego rejonu".

Departament Obrony nie był w stanie zidentyfikować tajemniczego obiektu latającego i odmówił komentarzy na temat, czym mógł on być.

Lot nr 542 linii Braniff nie miał szczęścia.

Pięć miesięcy po tym jak transportowiec Sił Powietrznych C-118 rozbił się w stanie Washington, fabrycznie nowy samolot pasażerski stał się ofiarą nocnego nieba nad Teksasem.

Kapitan W. E. Stone i Pierwszy Oficer Dan Hallawell wystartowali z Houston o 10:37 wieczorem w lot do Nowego Jorku 29 września 1959.

Czterosilnikowy turbośmigłowiec Electra leciał poprzez częściowo zachmurzone niebo, na wysokości 15000 stóp, zbliżając się do Buffalo w Teksasie, z 28 pasażerami i sześcioma członkami załogi.

Major R. O. Braswell, lecący na Air Force C-47 na wysokości 6000 stóp, zbliżył się do Buffalo, kiedy spostrzegł świecące UFO. „Było to coś masywnego", powiedział Braswell, „około pięć stopni nad moim samolotem".

Obserwatorzy na ziemi również widzieli błyszczący obiekt.

Nagle spokojne niebo ożyło, podczas gdy samolot linii Braniff eksplodował i spadł na ziemię.

Nikt nie przeżył.

Jeden świadek powiedział: „Całe niebo zostało jakby zapalone przez wielką kulę ognistą, posuwającą się w górze, po czym zaraz nastąpiła olbrzymia eksplozja, tak gwałtowna, że zdawała się trząść samą ziemią".

„Usłyszałem dźwięk samolotu, który brzmiał głośniej niż zwykle", powiedział inny świadek. Wybiegł on ze swego domu i zobaczył „jasne światło na niebie, które rozprzestrzeniało się, pokrywając całe nocne niebo, jakby płonął fosfor lub magnez".

I znów grupy ratownicze mogły jedynie z zakłopotaniem potrząsać głowami z powodu stanu szczątków samolotu. Rozrzucone fragmenty wyglądały tak samo jak po katastrofie transportowca C-118 w stanie Washington pięć miesięcy wcześniej.

R. V. Carlton, wiceprzewodniczący linii Braniff, powiedział: „Nic nie wskazuje na to, że kadłub samolotu eksplodował na skutek wybuchu bomby. Lecz cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się nagle. Oczywiste jest, że rozerwanie samolotu nastąpiło w powietrzu".

„Badałem wiele katastrof", dodał Carlton, „ale nigdy nie widziałem takiej, w której samolot byłby tak całkowicie zniszczony, szczątki jego tak szeroko rozrzucone, a ludzie tak strasznie pokiereszowani".

Badający sprawę doszli do wniosku, że żaden pożar ani wybuch nie miały miejsca na pokładzie Elektry, tak podczas lotu, jak po zderzeniu z ziemią. Zbadanie okien i kadłuba samolotu dowiodło, że samolot wystawiony był na straszliwe **zewnętrzne** ciepło i, co najbardziej intrygujące, źródło eksplozji podczas lotu nr 542 nie pochodziło z **wnętrza** samolotu. Tylko jeden spośród czterech silników został odnaleziony pośród szczątków. Samolot, wart 2.4 miliona dolarów, pozostawał w służbie jedynie dziesięć dni.

Oficjalny raport określił przyczynę wypadku jako nieznaną. Nie zostały w nim zawarte relacje świadków, którzy mówili, że widzieli jak UFO wystrzelił kulę ognistą do samolotu pasażerskiego.

Kolejna ofiara dołączyła do listy, gdy samolot Flying Tiger Line zniknął podczas lotu z wyspy Guam do Manili 16 marca 1962.

Pasażerski Super Constellation, latający kontraktowo w służbie Wojskowego Transportu Powietrznego, miał na pokładzie 107 pasażerów, a tym 93 amerykańskich żołnierzy lecących do Wietnamu.

Kapitan Gregory P. Thomas, pilot, wystartował z Guam o 10:56 wieczorem. Lot przebiegał bez zakłóceń przez następną godzinę i dwadzieścia sześć minut. Po czym drugi pilot, Pierwszy Oficer Robert Wish, nadał przez radio rutynowy raport o pozycji samolotu. Wish powiedział, że lecą „na wysokości 18000 stóp, zajmując położenie 13.40 stopni szerokości północnej i 140 stopni długości wschodniej".

Samolot Super Constellation (zdrobniale: Super Connie) znajdował się na właściwym kursie o właściwym czasie i miał planowo wylądować na bazie Clark o 3:16 po południu. Na całej trasie pod zachmurzonym niebem pogoda była dobra, nieco chmur rozrzuconych było na wysokości 2000 stóp. Nie było żadnego deszczu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

Gdy samolot nie dotarł do bazy Clark, próby kontaktu z nim spełzły na niczym. Kontrolerzy ruchu powietrznego byli zaintrygowani, ponieważ nie otrzymali żadnych sygnałów pomocy od załogi samolotu.

Rozpoczęto szerokie poszukiwania pod kierunkiem dowództwa amerykańskiego w Manili. Obawiano się, że samolot spadł do morza, a nie ma żadnych wysp na całym 1600-milowym odcinku od Guam do Manili.

Dzień później dowództwo otrzymało wiadomość od kapitana Duilio Bena, właściciela T.L. Lenzen, który stwierdził, że w czasie gdy zniknął Super Constellation widział coś, co zdawało się być płonącym samolotem. Kapitan Bena powiedział, że najpierw zobaczył „jasne światło, wystarczające do tego, by oświetlić mostek kapitański" w piątek nad ranem, o godzinie 1:20. Następnie ujrzał „wybuch, po którym dostrzegł dwa spadające światła. Jedno opadało szybko, drugie wolno". Kapitan Bena powiedział, że przeszukiwał teren bez powodzenia.

Ekipy Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej kontynuowały przeczesywanie Zachodniego Pacyfiku w nikłej nadziei znalezienia tych co przeżyli. Nic nie znaleziono. Była to wówczas największa katastrofa lotnicza na Pacyfiku.

Zniszczone zostały trzy samoloty i zginęło 145 osób, prawdopodobnie w rezultacie aktywności niezidentyfikowanych obiektów latających. Dwa samoloty prawdopodobnie zderzyły się z UFO. Jeden samolot pasażerski zdołał uniknąć katastrofy, gdy zaalarmowany pilot dostrzegł świecący fantom na czas, by zdążyć umknąć niebezpieczeństwu. Jedna tragedia ukazała nowe zagrożenie, gdy świadkowie zdarzenia mówili, że widzieli jak UFO wystrzeliło kulę ognia w samolot Electra.

Tego wieczoru dwusilnikowy odrzutowiec S-3A Viking do zwalczania łodzi podwodnych wpadł do Pacyfiku, sześć mil na zachód od bazy lotniczej. Obaj piloci zginęli, gdy samolot eksplodował.

Pięćdziesiąt mil na zachód od bazy myśliwiec Marynarki Wojennej A-4 Skyhawk pogrążył się w morskim grobie podczas nocnego lotu treningowego. Pilot, porucznik Evan Chanik, szczęśliwie katapultował się, nie doznawszy obrażeń.

Marynarka Wojenna nie wspomniała o obecności UFO w swych oficjalnych raportach o wypadkach, dotyczących trzech katastrof.

Specjaliści od spraw publicznych stwierdzili, że nieznany obiekt, widziany zgodnie z raportami przez świadków na niebie w okolicy wybrzeża San Diego, był meteorem. Naiwni reporterzy przyjęli tę fantazję i nie napomknęli o niezidentyfikowanych obiektach latających w swych artykułach prasowych.

Nieoficjalnie źródła wojskowe Marynarki Wojennej później przyznały, że „wszystko w samolotach zwariowało". Cały elektryczny system w każdym z samolotów zawiódł, czyniąc bezużytecznym sprzęt do nawigacji i komunikacji. Również żaden pilot nie był w stanie kontrolować wysokości swej maszyny.

Obiekty UFO nie specjalizują się w używaniu amerykańskich samolotów jako celów. Udokumentowane świadectwa pokazują, że atakują one wojskowe myśliwce i samoloty pasażerskie na całym świecie, nie wyłączając Związku Radzieckiego.

Podczas wywiadu dla „Socjalistyczeskoj Industrii" przerażający przypadek został ujawniony przez Anatolija Listratowa, przewodniczącego Wszechzwiązkowego Towarzystwa Astronomicznego i Geodezyjnego.

Nad miastem Borysow dwa radzieckie samoloty dostrzegły niezidentyfikowany obiekt latający. Pięć strumieni świetlnych zostało wysłanych z dziwnego statku – trzy na ziemię i dwa ku górze.

Kontrolerzy ruchu powietrznego polecili jednemu z pilotów udać się w kierunku obiektu. Gdy samolot zbliżył się, UFO skierowało weń jeden ze swych

STR. 24 ▶

PODNIEBNY TERROR

strumieni świetlnych, zalewając kabinę pilota falą intensywnego ciepła.

„W tym czasie drugi pilot był przy sterach", powiedział kapitan. „Obserwował on ów manewr i podniósł rękę, by zasłonić się przed nieznośnym światłem".

Promień światła ominął obu pilotów. Krótko po tym incydencie obaj lotnicy zostali inwalidami. Zdrowie drugiego pilota wciąż się pogarszało i zaczął on doznawać długich okresów utraty przytomności.

Idea użycia wysokoenergetycznych strumieni plazmy jako broni jest z pewnością technologicznie osiągalna dla istot pozaziemskich, zdolnych do podróży międzygwiezdnych. Była ona nawet rozważana przez naszych naukowców, którzy również proponowali kontrolowane użycie kul ognistych („fireball" – słowo to, które można tłumaczyć również jako „plazmoid", oznacza też „piorun kulisty"; w obu przypadkach chodzi o silnie skondensowaną plazmę utrzymywaną w kształcie kulistym – przyp. tłum.)

W rzeczywistości broń plazmową wytworzono już ponad trzydzieści lat temu w Radiation Lab na Uniwersytecie Kalifornijskim. Unikatowe dzieło wystrzeliwuje plazmoidy o kulistym kształcie, poruszające się z prędkością 120 mil na godzinę.

Zostały również opracowane systemy broni laserowej dla armii amerykańskiej. Działo laserowe może na odległość jednej mili oślepić człowieka lub go spalić. Przenosi ono energię równoważną dziesięciu tysiącom pocisków!

Spotkania samolotów z niezidentyfikowanymi obiektami latającymi, kończące się śmiercią ludzi, będą nadal występować, doprowadzając do frustracji tych, którzy są świadomi tego, że nie można stworzyć systemu obronnego i systemu ostrzegania, chroniących przed nieszczęściami.

Przedstawiciele armii twierdzą jednak, że obiekty UFO po prostu nie istnieją i nadal zamierzają oferować konwencjonalne wytłumaczenia zdarzających się tragedii.

oprac. i tłumaczenie: RYSZARD SAMECKI



CO ZNALEZIONO NAD RZEKĄ PAD?

DZIWNE ODKRYCIE

Z końcem zimy 1988 jeden z naszych współpracowników jechał wzdłuż rzeki Pad, w miejscu gdzie droga prowadzi od Alberone do Cologna (niedaleko Ferrary). Było popołudnie i występowała delikatna mgiełka. Nasz współpracownik poszedł na brzeg, by zobaczyć czy jest tam nieco drewna nadającego się do domowego kominka. Od razu spostrzegł **dziwne małe sterty mięsistej substancji, leżącej na nadrzecznej plaży. Sterty były rozrzucone na długości około stu metrów lub więcej. Zebrał kilka próbek tej dziwnej substancji (wszystko co leżało na ziemi mogło ważyć 3 kilogramy) i poszedł do domu.**

Następnego dnia zaprosił mnie, bym przyszedł obejrzeć dziwne znalezisko. Wraz z jednym z członków USAC poszedłem zobaczyć: wyglądało to jak kawałki wielkiego węża. Niektóre łuski były olbrzymie. Pokrywały one mięsistą substancję, wyglądającą jak galareta. Całość była spoista, koloru białego, podczas gdy pokrywające łuski były brązowe i mieniły się żółto-zielono.

Trudno było ją kroić. Oglądana pod mikroskopem była zwarta i przezroczysta.

Udałem się na Uniwersytet w Ferrarze (do Instytutu Zoologii), by przeprowadzić analizę. Wróciłem po 15 dniach. Odpowiedź nie była jasna: **nie można było kroić substancji mikrotomem** (jest to instrument, który tnie próbkę organiczną na cienkie plasterki, tak by można ją było analizować przy użyciu mikroskopu). **Substancja musiała być syntetyczna.**

Jakaż zwięzła odpowiedź dla chemika, jak ja! Poszedłem do domu z kawałkiem tajemniczej substancji.

W międzyczasie nasz współpracownik (który odnalazł substancję na plaży) poddał działaniu ognia kawałek łuskowatego ciała. Po paru minutach uległo ono odwodnieniu i stało się prawie zielone. Podaczas palenia wydzielało zapach keratyny (keratyna jest substancją organiczną, białkiem, wchodzącym w skład paznokci, włosów i piór).

To był nonsens. Jak syntetyczna substancja mogła zawierać białko? Zdecydowałem zatrzymać resztę próbek na lepsze dni.

W sierpniu dowiedziałem się, że pewien biolog z tego samego Uniwersytetu w Ferrarze prowadził analizy próbek, również w Instytucie Zoologii. Przez cały ten czas badania osobliwych próbek określano jako **„Ściśle tajne"**, lecz nieoficjalnie otrzymałem pierwsze wyniki analiz.

TESTY PRZEPROWADZONE NA MATERIALE ZNALEZIONYM NAD RZEKĄ PAD, MIĘDZY ALBERONE I COLOGNA, PRZEZ USAC W KOŃCU ZIMY.

a) Obserwacja materiału.

Materiał przypomina klej roślinny.
Po utrwaleniu na powierzchni występuje błona półsztywna: głębsze partie mają strukturę jamistą.
Posiada wzory, które początkowo zdają się być łuskami ułożonymi w strukturę kafelkową; ma konstrukcję gada.
Dokładna analiza ujawnia występowanie nie łusek lecz form, które je imitują. Formy te są w środku intensywnie zabarwione.

b) Techniczna preparacja przeprowadzona przy zastosowaniu cięcia materiału mikrotomem.

Materiał, z powodu swej gąbczastej natury, absorbuje utrwalacz.
Przebieg testu:

1) Utrwalanie: pitric kwas 70% + formalina 20% + kwas octowy 10%.
2) Kąpiel w alkoholu poniżej 70%, następnie w alkoholu o stopniowo zwiększanym stężeniu: 80%, 90%, 95%, 100%.
3) Kąpiel w ksylenie.
4) Płytkie zanurzenie w parafinie na trzy zmiany w piecu (57°).
5) Zanurzenie w parafinie.
6) Użycie mikrotomu: preparat zachowuje swoją elastyczność, ostrze mikrotomu ściska go, nie mogąc przeciąć.

c) **Inne badania.**

Materiał, poddany działaniu płomienia palnika, zwęgla się, wydzielając zapach palonej keratyny i pozostawiając po sobie bardzo drobny szary popiół.
W piecu (50°) ulega odwodnieniu, przechodząc w brązową substancję. W wodzie staje się znów elastyczny, zachowując uzyskany kolor. Po 10 minutach w gorącej wodzie zmniejsza swą objętość, a wyjęty z wody pozostaje w stanie skurczonym i ma konsystencję gumy. Odbija się jak guma od twardych powierzchni.
Materiał, umieszczony w bunsenowskim metalowym naczyniu, topi się, przechodząc w pozostałość o czarnym kolorze; nie wydziela zapachu keratyny (palącej się).
W benzoesanie metylowym materiał traci substancjalność po paru godzinach i ma tendencję do zanikania.
W ksylenie nic się nie dzieje, nawet po paru dniach.
W acetonie staje się twardszy po paru godzinach.

WYNIKI

Dzięki uzyskanym przekrojom poprzecznym, badaniom mikroskopowym i różnym testom można stwierdzić, że nie jest to tkanka zwierzęca. Należy sprawdzić, czy jest to tworzywo sztuczne (plastik).

Głęboka dolina nie istniejącej już rzeki była przed 80 tys. lat miejscem łowów. Dawni myśliwi polowali tam — w wąskim i stromym zejściu do wodopoju — na mamuty, nosorożce włochate i dzikie konie. Ślady łowców z epoki lodowej znaleziono niedawno podczas eksploatacji żwiru w Zwoleniu koło Radomia. Badania prowadzone przez warszawskich archeologów — prof. Romualda Schilda i dr Zofię Sulgustowską z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN przyniosły interesujące wyniki. Z kilku względów jest to unikalne znalezisko w skali europejskiej. Po raz pierwszy na niżu europejskim natrafiono na pozostałość obozowisk z okresu środkowego paleolitu — tj. sprzed 80—50 tysięcy lat. Jest to również najdalej na północ wysunięty punkt osadnictwa z tego okresu na ziemiach polskich.

od HOMINIDA do HOMO SAPIENS

ANDRZEJ MARKERT

Podczas wieloletnich badań znaleziono wiele skupisk kości zwierzęcych i wyrobów kamiennych — w tym kilkadziesiąt narzędzi używanych do oddzielenia i obróbki mięsa upolowanych zwierząt. Dawni myśliwi polujący na dużą zwierzynę jak mamuty czy nosorożce — zakładali obozowiska w miejscu udanych łowów. Podobne kości zwierząt i narzędzia kamienne spotyka się w południowej Polsce — głównie w jaskiniach Jury Krakowsko-Częstochowskiej i w okolicach Wielunia. Są to jednak pojedyncze okazy. Po raz pierwszy natrafiono na tak rozległy zespół i to na obszarach nizinnych — na północ od Gór Świętokrzyskich.

Stan badań

Prowadzone badania mają charakter kompleksowy. Z archeologami współpracują specjaliści z innych dyscyplin naukowych — geologii, paleontologii, hydrologii, paleobotaniki, klimatologii. Celem tych prac jest odtworzenie dawnego środowiska geograficzno-przyrodniczego oraz warunków klimatycznych. Obozowiska istniały w okresie, kiedy na ziemiach polskich rozpoczynało się ostatnie zlodowacenie zwane bałtyckim. Objęło ono w swym najdalszym zasięgu północne rejony naszego kraju. Na jego przedpolu znajdował się suchy step polarny przechodzący stopniowo w tundrę z niewielkimi skupiskami krzewów. Na stepie — w rejonie Zwolenia — w głębokiej dolinie znajdowała się rzeka, do której prowadziły prostopadłe suche wąwozy. Takie ukształtowanie terenu ułatwiało polowania z zasadzki na zwierzęta, idące do wodopoju.

Prace wykopaliskowe dostarczyły sporo informacji o dawnych myśliwych oraz ich ofiarach. Przebywali oni długi czas w tym rejonie. Wyróżniono dwie fazy osadnictwa — starszą, datowaną na 80 tys. lat i młodszą, pochodzącą sprzed 50 — 40 tys. lat. Ówcześni myśliwi — a byli to neandertalczycy — nie obawiali się ani polarnego klimatu, ani życia w arktycznej tundrze na przedpolu wielkiego lodowca. W drugiej fazie, 50 — 40 tys. lat temu, klimat mógł być trochę cieplejszy — ale w dalszym ciągu było to środowisko chłodnego stepu. Badania dawnych szczątków kostnych prowadzone przy współpracy belgijskiego paleontologa prof. Axhillesa Gothier z Uniwersytetu w Gandawie pozwoliły zidentyfikować gatunki zwierząt, które padły łupem myśliwych. Rozpoznano szczątki mamuta, nosorożca włochatego, bizona stepowego, dzikiego konia, renifera i bobra. Na uwagę zasługuje trzymetrowej długości cios mamuta — największe trofeum dawnych myśliwych. Upolowany mamut był już dość wiekowy — w chwili śmierci liczył 90 lat i miał bardzo starte zęby. Znaleziono też wiele szczątków lemingów — drobnych gryzoni żyjących w strefie tundry. Ich obecność jest najlepszym potwierdzeniem występowania chłodnego klimatu.

Polska uczestniczy od kilku lat w międzynarodowych badaniach nad początkami zasiedlenia Europy. W pracach biorą udział uczeni z kilkunastu krajów. Przez wiele tysiącleci kontynent europejski zasiedlony był przez neandertalczyków. Nasz bezpośredni przodek, homo sapiens, jest mieszkańcem Europy stosunkowo niedawno. Głównym celem międzynarodowych badań jest ustalenie, kiedy homo sapiens pojawił się w Europie i jaką drogą przywędrował na nasz kontynent. Ważne jest także stwierdzenie, jakie były wzajemne stosunki homo sapiens i neandertalczyka. Czy obie grupy się zwalczały, czy też żyły obok siebie. Nowe światło na pojawienie się homo sapiens w Europie rzucają polsko-bułgarskie badania archeologiczne w górskich jaskiniach Bałkanów. Prace wykopaliskowe prowadzone przez archeologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Baczo-Kiro ujawniły przed kilku laty najstarsze ślady homo sapiens w Europie. W czasie penetracji jaskiń znaleziono kamienne narzędzia, ślady ognisk, kości upolowanych zwierząt, a także szczątki ludzkie sprzed 42 tys. lat. Od 1985 r. prowadzone są badania w jaskini Tiemnata — gdzie znaleziono warstwy kulturowe sprzed 80 — 70 tys. lat. Najstarsze ślady podobnie jak nasze obozowiska pod Zwoleniem związane są z neandertalczykiem — ale rozpoznano też ślady sprzed 40 — 35 tys. lat pozostawione przez homo sapiens. Prawdziwą rewelacją okazały się wyroby kamienne i kościane zdobione ornamentem geometrycznym. W Baczo-Kiro archeolodzy natrafili na kości z charakterystycznymi nacięciami. Wysunięto hipotezę, że nie są to zwykłe ozdoby, a jakiś pierwotny system notowania — być może związany z obliczeniami kalendarzowymi. Ten kościany notatnik jest najlepszym dowodem, że działał tam 40 tys. lat temu homo sapiens, czyli człowiek rozumny. Ostatnio modna stała się hipoteza, że homo sapiens wy-





dc. ze str. 9

TAJEMNICE PODWÓJNEGO ŻYCIA

łają sobie wiadomości kilka razy w tygodniu.

Czasami owa legendarna bliskość bliźniaków bywa dla nich ciężarem. Karen i Laura, identyczne bliźnięta, nie mogły ze sobą wytrzymać, ponieważ tak bardzo nie znosiły ciągłego porównywania. W końcu Karen zaczęła poważnie myśleć o tym, by poddać się operacji plastycznej nosa. Gdy powiedziała o tym Laurze, ta wzięła do ręki lusterko, przejrzała się i zapytała: — Po co? Dwa lata separacji, podczas której przeszły terapię psychiatryczną, pozwoliły na unormowanie wzajemnych stosunków.

GDZIE MÓJ BLIŹNIAK?

Jednym z bardziej szokujących odkryć dotyczących bliźniąt są dane wykazujące, że 70 proc. ciąży zaczyna się jako bliźniacze. Naukowcy twierdzą, że nieokreślona tęsknota za bratem lub siostrą jaką odczuwają niektóre pojedyncze dzieci może mieć właśnie podłoże biologiczne. Dziecko tęskni po prostu za swym utraconym bliźniakiem.

Zarodek jednego z bliźniąt może zaniknąć z dwóch powodów. Albo z nieznanych przyczyn organizm matki wchłania pęcherz płodowy uniemożliwiając tym samym dalszy rozwój embrionu, albo następuje zjawisko jakby pierwotnego kanibalizmu. Embrion otacza bliźniaka i trzyma go w swym wnętrzu często bardzo długo przed swym narodzeniem. Nazywa się to vanishing-twings syndrom, zanikający zespół bliźniaczy. Tak właśnie wyglądał przypadek Nicka Hilla z Idaho. Całe życie cierpiał on na paraliżujące bóle głowy. W wieku 20 lat poddał się operacji. Chirurdzy wyjęli z mózgu Nicka kawałek ciała embriona, skórę i włosy — sądzą, że była to pozostałość po nieurodzonym bliźniaku. Bardzo często operowane cysty u wielu ludzi zawierają szczątki zębów, włosów lub kończyn.

Badacze odkryli, że rozwój biologiczny identycznych bliźniąt jest zawsze równoległy przez całe życie. Jeśli jeden ma dziurę w zębie, drugi będzie ją miał w tym samym czasie i w tym samym zębie. Dziewczęta bliźniaczki mają pierwszą menstruację jednocześnie, często nawet tej samej nocy. Bliźniaki w tym samym czasie tracą pierwsze zęby, jednocześnie łysieją. Mamy więc w sobie zegar genetyczny wyznaczający jakby kamienie milowe w naszym biologicznym życiu.

Lęki i fobie mają, jak się okazało, również swoje pochodzenie genetyczne. W badaniach 15 par identycznych bliźniąt, wychowanych i żyjących oddzielnie, zespół z Minnesoty znalazł zjawiska złożonych fobii. Dwa rodzeństwa, na przykład, bały się wody, odczuwały lęk wysokości i miały klaustrofobię. Jedna z badanych par, również rozdzielona zaraz po urodzeniu, wypracowała ten sam sposób opanowania wrodzonego lęku przed wodą. Po prostu wchodziły do oceanu tyłem, odwracając oczy od fal. Badacze przypuszczają, że geny tego typu lęków zostały wytworzone drogą ewolucji, gdyż one właśnie dawały większą szansę przeżycia we wczesnym okresie istnienia ludzkości. Lęk wysokości i wody jest dobrą ochroną przed upadkiem z urwiska lub utonięciem.

Podobnie jak fobie, bojaźliwość wydaje się wrodzoną cechą charakteru. Jednakże nie istnieje gen strachu, jako taki. W znaczeniu genetycznym bojaźliwi ludzie znaleźliby się w grupie najbardziej pobudliwych, którzy wytworzyli więcej hamulców do stłumienia wrodzonej pobudliwości. Naukowcy od dawna próbują dociec, w jaki sposób genetyczny wpływ na mózg może wytworzyć całą gamę określonych zachowań. Jedna z teorii utrzymuje, że osobniczy zapis genetyczny stwarza tylko indywidualne predyspozycje. W badaniach nad lękiem i depresją przeegzaminowano 3798 par bliźniąt jednojajowych (identycznych) i dwujajowych. Stwierdzono, że genetyczne predyspozycje mogą wykreować określony typ człowieka, ale w bliskiej zależności od warunków w jakich się on znajduje.

Świadomość, że geny mocno oddziaływują na nasze myśli i czyny zachwiała długo utrzymującym się przekonaniem o prymacie wolnej woli w życiu ludzkim. Jednakże, oczywiście, nie możemy po prostu usprawiedliwiać się naszymi genami. Dowodem na to jest fakt, że identyczne bliźnięta nie są identyczne w zachowaniach. Na przykład, z dwóch jednojajowych bliźniaczek, rozdzielonych w chwili urodzenia jedna wyrosła na profesjonalną pianistkę, chociaż jej adopcyjna rodzina wcale nie była muzykalna, druga, jej siostra, adoptowana przez profesora pianistę, nigdy nie nauczyła się grać na żadnym instrumencie.

Badania nad identycznymi bliźniakami pokazały, że „dary" natury, której znaczenia ciągle nie doceniamy, są w jakimś stopniu możliwe do pokonania. — Te same geny, lecz inne warunki, wliczając w nie różnorodne okoliczności edukacyjne, dadzą w końcu różne rezultaty — twierdzi prof. Baker z Uniwersytetu w Południowej Kaliforni.

Opracowała JOANNA DONNER
Rys. K. BIGOSIŃSKI



dc. ze str. 18

WSZECHŚWIAT
JEST TYLKO JEDEN?

27, noszą nazwę „rupa dhjana". Ich przedmiotem (medytacji) jest przedmiot materialny, utworzony z subtelnej materii. Znaczy to, że dla poznającego w ten sposób (jogina) przedmiot poznania zachowuje tu jeszcze swoją postać. Cztery wyższe wchłonięcia medytacyjne (dhjana) typu samadhi (tj. wchłonięcie świadomości, która jakby cofa się ku sobie samej w głąb), to znaczy, od sfery 28 do 31, noszą nazwę „arupa dhjana". Ich przedmiotem medytacji (czyli oglądu medytacyjnego) jest już przedmiot niematerialny, czyli całkowicie bezcielesny to jest, całkowicie pozbawiony postaci. Znaczy to, że przedmiot poznania nie posiada tu już żadnej postaci.

Są to trudne rzeczy do pojęcia, ale tak je przedstawia buddyzm. Pojąć je może ten, kto ich doświadczył. Innej drogi nie ma. Bo mówienie o tych rzeczach, bez doświadczenia ich, jest jedynie mową o rzeczy (rzeczywistości), a nie rzeczywistością.

Jak widzimy, subtelność wszechświata drugiego i trzeciego, o których mówią buddyjskie teksty, jest skierowana do wewnątrz, sięga w głąb przeżywającego (tj. doświadczającego przez poznanie typu przeżycia podmiotu).

Należy dodać, że nie musi się to niczym objawiać na zewnątrz. Widzi się tylko unieruchomienie jogina w stanie medytacji, gdyż jego świadomość, odłączywszy się od narządów zmysłowych, poszła ku sobie w głąb, wycofała się ku sobie samej ruchem wsobnym.

Jogini utrzymują, że jogin(tj. medytujący), doświadczając tych światów, aktualnie w n i c h przebywa. Bo jego świadomość, będąc odłączona od sfery materialnej (konkretnej, fizycznej), odbija w sobie owe wyższe światy, czyli nimi się zabarwia. Wskutek tego, ponieważ zachodzi utożsamienie się świadomości z tym, czym się ona zabarwia — „cognoscens fit ipsum obiectum cognitum" — poznający rzeczywiście przebywa w owych światach. Jest to oczywiście rzeczywistość wyższego rzędu, będąc co do swej natury rzeczywistością psychiczną.

Ogólnie wiadomo, iż doświadczamy tego, z czym się stykamy, a już szczególnie silnie tego, z czym się utożsamiamy. Największe utożsamienie zachodzi w akcie poznania, ponieważ „poznający staje się samym przedmiotem poznania" (teza filozofii scholastycznej). Nic dziwnego zatem, że przeżycia tego typu są dla tych, którzy ich doznali, bardziej realne od tego wszystkiego, czego można doświadczać w świecie fizycznym, w świecie grubej materii. Uprzedzając pytanie o konieczne warunki doświadczenia tych światów, przypomnę — co już zostało wyżej powiedziane — że odbić się one mogą w świadomości podmiotu, o ile ta została przedtem odpowiednio (tj. jogicznie) oczyszczona.

Jest to możliwe dzięki właściwościom ducha ludzkiego (atman), o którym mędrcy starożytnych Indii przekazali, iż jest „mniejszy od najmniejszej mniejszości i (zarazem) większy od największej większości" (CZANDOGIA UPANISZADA). Z tej przyczyny sięga on, to jest może sięgnąć, we wszystko poza sobą samym tak najmniejsze, jak i największe.

Także i Chrystus robi wzmiankę o tych światach, mówiąc o wielości miejsc w domu ojca: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele" (Jan 14, 2).

Kończąc te uwagi, pragnę powiedzieć, że starożytne systemy filozoficzno-mistyczne, a więc te, w których nie było rozdziału religii od nauki, mówią bardzo wiele, uczą bardzo wiele i zachęcają do niebywałych rzeczy.

ZDZISŁAW LEON NIKULI

wodzi się z Afryki i tam trzeba szukać jego kolebki. Do Europy przywędrował stosunkowo późno — docierając na nasz kontynent przez Bliski Wschód. Dlatego też najstarszych jego śladów trzeba szukać na Bałkanach. Polskie prace potwierdzają teorię o pojawieniu się homo sapiens najpierw w południowo-wschodniej Europie. Do niedawna przypuszczano, że człowiek współczesny — homo sapiens — wywodzi się od neandertalczyka. Ostatnie badania wykazują, że były to dwie niezależne od siebie linie rozwojowe. Wiadomo też na pewno, że pierwszym Europejczykiem był neandertalczyk. Najstarsze ślady pobytu człowieka na naszym kontynencie pochodzące sprzed 700 tys. lat ujawnione zostały przez polsko-włoskie badania na Sycylii.

Czy neandertalczyk był naszym przodkiem?

Problem ten wzbudza wiele sporów naukowych. W nauce światowej do niedawna wysuwane były hipotezy o istnieniu pokrewieństwa pomiędzy neandertalczykiem a współczesnym człowiekiem rozumnym. Ostatnie badania paleologiczne i archeologiczne dostarczają nowych danych, że człowiek rozumny miał już w momencie pojawienia się neandertalczyka. Homo sapiens pojawił się ok. 100 — 90 tys. lat temu chociaż istnieje też tendencja do przesunięcia tej daty na okres sprzed 200 tys. lat. W tym czasie neandertalczycy przeżywali okres największego rozwoju. Obie istoty żyły mniej więcej równolegle, nie mogą się więc wywodzić jedna z drugiej. Prawdopodobnie miały one jakiegoś wspólnego przodka żyjącego ok. 300 tys. lat temu. Była to zapewne jakaś archaiczna forma homo sapiens, która dała początek dwu liniom rozwojowym. Jedna z nich uzyskała zdecydowaną przewagę dzięki szybszemu tempu ewolucji i doprowadziła do człowieka współczesnego. Druga prowadzi do neandertalczyków, którzy nie zdołali osiągnąć wyższego stopnia rozwoju. Ta linia nie przekształciła się w homo sapiens i dlatego stopniowo wyginęła. Była ona coraz bardziej wypierana przez homo sapiens. Człowiek współczesny okazał się bardziej ekspansywny i stopniowo wyparł neandertalczyka z jego terenów.

Nowe dowody potwierdzające tę hipotezę zostały niedawno znalezione w Australii. Przez długi czas panowało w nauce światowej przekonanie, że ten peryferyjny kontynent nie odegrał żadnej roli w rozwoju człowieka. Neandertalczycy znani są z Afryki i Azji. Oni głównie zasiedlali Europę i znajdowali się w pierwszej fali migracyjnej jaka dotarła z Azji do Ameryki poprzez lądowy albo lodowy pomost w miejscu dzisiejszej Cieśniny Beringa. Człowiek współczesny żył gdzieś na peryferiach świata neandertalczyków — w Afryce.

W kamieniołomach koło Sydney

... archeolodzy australijscy znaleźli pozostałości ognisk i kamienne narzędzia używane przez homo sapiens pochodzące sprzed 27 tys. lat. Dzięki zastosowaniu nowej metody termoluminiscencji udało sią skorygować tę datę. Wiek znaleziska przesunięto na 47 — 43 tys. lat temu. Do tej pory najstarsze stanowisko człowieka odkryte w 1979 r. w zachodniej Australii określono na 40 tys. lat. Inne ślady nad jeziorem Mungo w zachodniej części stanu Nowa Południowa Walia obliczono na 35 tys. lat. Ostatnie odkrycia pod Sydney są o 3 — 7 tys. lat starsze. Są one także starsze o ok. 12 — 10 tys. lat od podobnych znalezisk w Europie. Człowiek współczesny — homo sapiens pojawił się w Australii o parę tysięcy lat wcześniej niż na kontynencie europejskim. Homo sapiens osiedlił się na odległym południowym kontynencie w czasach, kiedy w Europie dominował neandertalczyk. Australijskie odkrycia zmieniają wiele dotychczasowych poglądów na ewolucję homo sapiens i jego rozprzestrzenienie się w świecie. Okazuje się, że klasyczna teoria, według której człowiek współczesny z Afryki dotarł do Azji, a dopiero stamtąd (i to stosunkowo późno) przedostał się do Australii, jest błędna. Nowe odkrycia zmieniają nie tylko poglądy na historię człowieka współczesnego i neandertalczyka, ale zmuszają również do zajęcia się problemem, jakim jest

...zagadka „człowieka śniegu"

Wspominają o nim mity i legendy różnych ludów; spotyka się go w różnych częściach kuli ziemskiej — w Himalajach, w niedostępnych górach w Kanadzie i USA, a także w Pamirze, na Kaukazie i Syberii. Największą trudność sprawia brak przekonywujących dowodów o jego istnieniu. Są to tylko wzmianki — relacje o spotkaniach z dziwną istotą. Brakuje natomiast w pełni wiarygodnych danych. Dotychczasowe dowody, np. fotografie jakiejś zamazanej sylwetki, odciski stóp czy strzępki sierści są przez uczonych podważane. Tym niemniej wiara w istnienie „człowieka śniegu" utrzymuje się w różnych środowiskach naukowych. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Akademia Nauk ZSRR zorganizowała specjalną komisję, która podjęła systematyczne badania. Zorganizowano kilka ekspedycji w celu poszukiwania śladów „człowieka śniegu" na Kaukazie i w Pamirze. Zorganizowano kilka ekspedycji, które zebrały wiele interesujących materiałów, ale nie natrafiły bezpośrednio na ślad tajemniczej istoty.

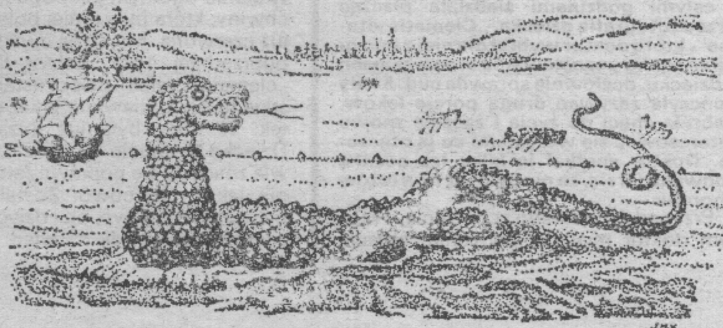
Niedawno znów zainteresowano się poszukiwaniem „człowieka śniegu". Prace rozpoczęto od uporządkowania dotychczasowych materiałów i weryfikacji wszystkich danych. Wysunięto hipotezę, że legendarny „człowiek śniegu" może być jakąś reliktową formą dawnych hominidów. Być może są to ostatni żyjący jeszcze na Ziemi potomkowie neandertalczyków, którzy nie wyginęli całkowicie 15 tys. lat temu — jak sądzą niektórzy uczeni. Przetrwali oni w najbardziej niedostępnych górskich rejonach — jak w Himalajach.

Radziecki uczony — antropolog prof. Borys Proszniew — wysunął hipotezę, że współcześnie istnieją jeszcze jakieś formy paleoantropów, czyli starszych odmian człowieka. Jedną z nich może być neandertalczyk. Tu powraca hipoteza o istnieniu dwóch linii rozwojowych. Przedstawiciele pierwszej z nich odznaczali się gorszymi warunkami fizycznymi, ale bardziej rozwiniętym intelektem. Druga wykazywała tendencje odwrotne — słabszy intelekt przy potężnej budowie i wielkiej sile fizycznej. Ta druga forma mogła przetrwać w najbardziej niedostępnych rejonach świata dając początek legendom o „człowieku śniegu".

W Związku Radzieckim zebrano wszystkie dane o spotkaniach z tą istotą. Za pomocą komputera przeanalizowano wszystkie relacje odrzucając różne elementy fantastyczne i zostawiając dane, które się powtarzały. Wyszedł z tego obraz „człowieka śniegu". Jest to hominid o sylwetce bardziej ludzkiej niż małpiej, wysokości ok. 180 — 190 cm, cały owłosiony, potężnie umięśniony. Bardzo przypomina neandertalczyka. Uczeni usiłowali przedstawić teoretycznie przebieg ewolucji hominidów w różnych warunkach uwzględniając różnych przodków. Ta symulacja komputerowa dała interesujące wyniki. Jedna z wersji takiej ewolucji dała w efekcie istoty zbliżone do neandertalczyka i współczesnego człowieka. Tak więc „człowiek śniegu" może być potomkiem ostatnich neandertalczyków. ■

RYBA-POTWÓR

Węża o długości 5 metrów i wadze ponad 60 kilogramów złowili japońscy rybacy na wodach prefektury Kanagawa, sąsiadującej z Tokio. Nazwali go „posłańcem z pałacu morskiego smoka". Ryba swoim kształtem przypomina wąż pożarniczy i odstrasza brzydotą łba podobnego do głowy smoka. Zdaniem japońskich ichtiologów, jest to jeden z niezwykłych rodzajów ryby głębinowej, niezwykle rzadko wypływającej na powierzchnię morza. Spotyka się ją na południowych obszarach Oceanu Spokojnego i Indyjskiego. Żeruje zwykle na głębokości jednego kilometra, a na wody Japonii przygnało ją zapewne albo podwodne trzęsienie ziemi albo tajfun. „Posłaniec z pałacu morskiego smoka" ma być jedną z atrakcji wielkiego festynu rybnego organizowanego co roku w mieście Odawara. (wk) ■



Na potwierdzenie wiarygodności i skuteczności zbawiennego oddziaływania sfery duchowej na ciało człowieka, przytoczę kilka przykładów wyleczenia pacjentów, które to dr Bach skrupulatnie rejestrował. W swojej praktyce zetknął się z różnymi przypadkami. Lekkimi, ale też i bardzo ciężkimi.



Doktor BACH-LEKARZ DUSZY

Pewien pacjent, jowialnego charakteru, miał dużą brodawkę na czole. Najbardziej szczęśliwy był wówczas, kiedy miał wokół siebie parę osób, którym mógł opowiadać z wielkim upodobaniem o wszystkim co tyczyło spraw jego zdrowia. To właśnie zwróciło uwagę dr Bacha na lek o nazwie „calluna vulgaris". Zastosował więc ten lek, zalecając smarowanie brodawki. Po trzech tygodniach zniknęła i nie pozostał po niej nawet ślad. Lek, który był zastosowany lokalnie, zadziałał w sposób właściwy, gdyż przeznaczony jest dla ludzi, którzy ciągle myślą o swoich trudnościach, bez przerwy rozmawiają z innymi ludźmi, zaburzając ich witalność. Kwiatowe środki lecznicze dr Bacha przynoszą wręcz znakomite efekty, jeżeli stosuje się je dokładnie — zgodnie z charakterem chorego. Tak więc określony stan psychiczny wymaga zastosowania przypisanego mu, ściśle określonego leku, niezależnie od schorzenia. Można też powiedzieć inaczej. Takie samo schorzenie u kilku osób, będzie wymagało innego leku w poszczególnych przypadkach, w zależności od charakteru chorego człowieka.

Inne przykłady z rejestru dr Bacha: w roku 1932 do doktora zgłosiła się 18-letnia dziewczyna, której przed sześcioma miesiącami usunięto operacyjnie dużą narośl na tarczycy. Ponieważ narośle niestety zaczęły się znowu formować, lekarze proponowali jej drugą operację. Dziewczyna była typem marzyciela, a poza tym ogromnie zamartwiała się z powodu swojego stanu zdrowia. Dr Bach przepisał jej „Clematis", a więc środek na marzycielstwo, który to miała zażywać 3 razy dziennie. W ciągu 15 dni nastąpiła resorbcja narośli i tym razem już bez nawrotów choroby. W czasie tej kuracji, dziewczyna nie przyjmowała żadnych innych leków na chorą tarczycę. Choroba ustąpiła po zastosowaniu leku psychologicznego na cechę dominującą — czyli marzycielstwo. W tym samym czasie, tym samym środkiem na marzycielstwo, doktor wyleczył inną pacjentkę. Tym razem była to 36-letnia kobieta, chorująca na astmę przez całe swoje życie. Przed siedmioma laty straciła syna i całymi godzinami siedziała płacząc przed fotografią dziecka. „Clematis vitalba", którą doktor wybrał dla niej z uwagi na tę cechę pozostawania w marzeniach o dziecku, dosłownie sprawiła cud. Kiedy kończyła zażywać drugą porcję leków, nabrała chęci do życia i zaczęła znowu interesować się wszystkim co ją otaczało. Doktor spotkał ją kilka lat później i dowiedział się, że nie było już nawrotów choroby.

Przypadek ciężkiego schorzenia, z którym doktor miał do czynienia, opisuje następujące zdarzenie: pewnego dnia 8-letni chłopiec skaleczył się w lewą nogę. Na paluchu utworzyła się mała rana, która szybko się zaleczyła, ale w tydzień później chłopcu spuchły węzły chłonne w pachwinie. Dziecko było chore. Wezwany lekarz zalecił leżenie w łóżku i kompresy. W trzy dni później stan dziecka bardzo się pogorszył. Wezwany ponownie lekarz chciał zabrać dziecko na operację do szpitala, ale rodzice nie zgodzili się.

Doktor Bach po przybyciu na miejsce, zbadał stan dziecka. Wysoka gorączka, puls szybki, puste spojrzenie, skóra niebiesko-czerwona. Dziecko było podniecone i stale zirytowane, chciało, aby matka była ciągle z nim. Stan był ciężki. Trzeba było natychmiast działać. Doktor Bach przepisał trzy środki: „agrimonia eupatoria" na podniecenie, „cichorium intybus" na zirytowanie i „helianthemum nummularium", ponieważ stan był ciężki i trzeba było szybko działać. Środki lecznicze podawano co pół godziny. Kurację zaczęto około 8 rano w środę. O godz. 22 dziecko wpadło w delirium, ale nadal podawano leki. O godz. 3 nad ranem dziecko zasnęło i spało 4 godz. W czwartek rano była już lekka poprawa, zarówno w stanie ogólnym jak i opuchnięciu pachwiny, która była mniej bolesna i mniej już czerwona. Mając na uwadze delirium poprzedniej nocy, doktor Bach dodał „clematis vitalba" do pozostałych i wszystkie te leki podawano przez cały czwartek. W nocy była już duża poprawa. Dziecko przespało 10 godzin. Stan zdrowia znacznie się poprawił zarówno ogólnie jak i miejscowo. Zostało usunięte niebezpieczeństwo, no i dziecko nie było zirytowane. Tak więc „helianthemum nummularium" i „cichorium intybus" nie były już potrzebne, ale ponieważ dziecko było nadal podniecone w dalszym ciągu podawano „agrimonia eupatoria" na podniecenie, oraz „gentiana amarella" na depresję. W sobotę rano chłopiec był już prawie zdrowy, chociaż jeszcze osłabiony i lekko podniecony. Doktor Bach zalecił w dalszym ciągu podawanie „agrimonia eupatoria" i „centaurium umbellatum". Niedzielę dziecko już spędziło na dworze, a w poniedziałek biegało po plaży i kąpało się. Przytoczone przypadki, jak i inne schorzenia opisane dokładnie przez dr Bacha, świadczą o tym, że jego środki lecznicze działają zarówno w przypadkach nagłych, jak i przewlekłych, czy wręcz też w bardzo ciężkich stanach. Poza tym, w przeciwieństwie do środków allopatycznych, homeopatycznych i innych leki kwiatowe nie mają żadnego wpływu na organizm fizyczny. Nie mogą więc szkodzić. Tak więc nie ma żadnych przeciwwskazań do ich zastosowania, ponieważ nie wywołują reakcji drugorzędnych czy skutków ubocznych w organizmie. Dlatego też, ze wszech miar, godne są polecenia i należnej im uwagi. Doktor Bach radził, abyśmy nie czekali aż nadejdzie choroba, lecz gdy zauważymy już jakieś cechy charakterystyczne duszy, zdecydowanie dominujące w naszym charakterze, powinniśmy zastosować odpowiednie środki kwiatowe według podanej niżej tabeli:

NR 1 Agrimonia eupatoria
Lek dla osób, które starają się zachować spokojną, pogodną twarz mimo trapiącego ich ogromnego, wewnętrznego zmartwienia i cierpienia.

NR 2 Populus tremula
Lek dla niespokojnych, pełnych wewnętrznego, często nieuświadomionego lęku, bojących się nie wiadomo czego.

NR 3 Fagus silvatica
Lek dla tych, którzy są zbyt krytyczni i nietolerancyjni dla innych.

NR 4 Centaurium umbellatum
Lek dla tych, którzy mają słabą wolę. Niewolniczo poddają się innym, pozwalając im całkowicie dyrygować sobą.

NR 5 Ceratostigma villmottiana
Lek dla osób, które nie ufają sobie. Nie mają własnego zdania, ponieważ nie dowierzają swemu rozsądkowi. Stale proszą innych o radę.

NR 6 Prunnus cerasifera
Lek dla zdesperowanych. Dla tych, którzy tracą kontrolę nad sobą i boją się swoich niekontrolowanych i nieracjonalnych myśli.

NR 7 Aesculus hippocastanum
Lek dla tych, którzy nie wyciągają wniosków z własnych doświadczeń, popełniając stale te same błędy.
NR 8 Cichorium intybus
Lek dla apodyktycznych, zaborczych, bez przerwy pouczających innych jak mają postępować. Jednocześnie typ męczennika, użalającego się nad sobą, poza tym stale wymaga od otoczenia, aby się nim zajmować.
NR 9 Clematis vitalba
Lek dla marzycieli, którzy nie zwracają uwagi na to co się wokół dzieje, żyjąc własnym życiem, zamknięci w świecie swoich marzeń. Lek stosowany również przy głupocie.
NR 10 Malus pumilla
Lek dla osób niezadowolonych z siebie, potępiających się i oskarżających za to, czego nie zrobili. Mają wrażenie, że są brudni, splamieni swoimi postępkami.
NR 11 Ulmus procera
Lek dla tych, którzy chwilowo czują się zmęczeni i rozczarowani, że nie podołają nadmiernym obowiązkom.
NR 12 Gentiana amarella
Lek dla zniechęconych, przygnębionych, rozczarowanych. Dla tych osób, które pozwoliły się opanować czarnym myślom. Dla wątpiących w siebie.
NR 13 Ulex europeus
Lek dla osób ekstremalnie zniechęconych i rozczarowanych. Dla tych, których ogarnął pesymizm i defetyzm, którzy uważają, że to co robią nie ma sensu.
NR 14 Calluna vulgaris
Lek dla tych, którzy nie umieją słuchać, dla gadatliwych, którzy obsesyjnie i z wielkim upodobaniem opowiadają innym o swoich sprawach, szczególnie o swoim zdrowiu zaburzając ich witalność.
NR 15 Ilex aquifolium
Lek dla zazdrosnych, zawistnych, podejrzliwych. Zdominowanych uczuciem krzywdy, nienawiścią i chęcią rewanżu oraz zemsty.
NR 16 Lonicera caprifolium
Lek dla osób żyjących przeszłością, których męczy ogromna nostalgia. Nie potrafią żyć chwilą obecną, po prostu żyją wspomnieniami.
NR 17 Carpinus betulus
Lek dla tych, którym brak sił do sprostania codziennym obowiązkom, mimo że zazwyczaj są sumienni i obowiązkowi.
NR 18 Impatiens glandulifera
Lek dla niecierpliwych, irytujących się łatwo i z byle powodu. Dla rozdrażnionych i stale zirytowanych.
NR 19 Larix decidua
Lek dla pesymistów, dla tych którym brak wiary w siebie. Którzy posiadają poczucie niższości, nie wierzą w powodzenie i pozwalają aby okazja przeszła obok.
NR 20 Mimulus guttatus
Lek dla osób bojaźliwych z natury, lękliwych, bojących się wszystkiego.
NR 21 Sinapis arvensis
Lek dla osób, które opanowuje uczucie wielkiego smutku niewiadomego pochodzenia, który to smutek może tak samo nagle przejść jak przyszedł, ale który też może utrzymywać się przez dłuższy czas.
NR 22 Quercus robur
Lek dla osób bardzo pracowitych, którzy wskutek opadnięcia z sił popadają w stan zniechęcenia i tracą nadzieję na jakiekolwiek powodzenie. Mimo jednak rozgoryczenia i zamartwiania się z tego powodu nie poddają się i walczą.
NR 23 Olea europaea
Lek dla osób krańcowo osłabionych, całkowicie pozbawionych energii. Wyczerpanych fizycznie i psychicznie.
NR 24 Pinus sylvestris
Lek dla niezadowolonych, z głębokim poczuciem winy za błędy nawet te nie popełnione, jak również błędy innych. Dla zawsze przepraszających, robiących sobie ciągle wyrzuty.
NR 25 Aesculus carnea
Lek dla osób, których trawi wielki niepokój i ciągły nadmierny strach o innych.
NR 26 Helianthenum nummularium
Lek dla tych, którzy ciągle popadają w panikę i krańcowe przerażenie, których dręczy potworny strach.
NR 27 Aqua petra
Lek dla rygorystycznych, twardych, nieugiętych względem siebie. Dla niewolników własnych rygorów i schematów z powodu dążenia do osiągnięcia wymarzonego ideału.
NR 28 Scleranthus annuus
Lek dla niezdecydowanych, wahających się. Dla tych, którym zwątpienie nie pozwala podjąć żadnej decyzji.
NR 29 Ornithogalum umbellatum
Lek dla osób będących w wielkim szoku, spowodowanym ogromnym przeżyciem lub wypadkiem.
NR 30 Castanea sativa
Lek dla osób niegościnnych, ponurych, będących w skrajnej rozpaczy, zdesperowanych do tego stopnia, iż mają uczucie że znajdują się na granicy ludzkiej wytrzymałości.
NR 31 Verbena officinalis
Lek dla tych, których ogarnął nadmierny entuzjazm przekraczający granice ich możliwości. Dla fanatyków i ekstremalnie wrażliwych. Dla zestresowanych nadmierną pracą.
NR 32 Vitis vinifera
Lek dla nieugiętych, niewyrozumiałych, okrutnych, aroganckich, posiadających aspirację władzy. Dominujących nad innymi. Typowi szefowie
NR 33 Juglans regia
Lek, który chroni przed wpływami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Pomaga zerwać więzy z przeszłością i wejść w nową sytuację. Np w okresach wielkich zmian życiowych, przechodzenia z okresu dojrzewania w dorosłe życie itp.
NR 34 Hottonia palustris
Lek dla ludzi, dumnych, spokojnych, bardzo pewnych siebie, utrzymujących stale dystans. Dla ludzi mało komunikatywnych, nie mieszających się w cudze sprawy.
NR 35 Aesculus hippocastanum
Lek dla tych, których męczy nieustanny natłok myśli, których obsesyjnie prześladuje wytwór własnej wyobraźni.
NR 36 Bromus ramosus
Lek dla ludzi niezadowolonych z powodu niespełnionych marzeń życiowych. Lek ten pomaga w zdecydowaniu i wyborze własnej drogi życiowej.
NR 37 Rosa canina
Lek dla całkowicie zrezygnowanych, ogarniętych apatią
NR 38 Salix vitellina
Lek dla tych, których ogarnęło uczucie żalu, goryczy, krzywdy.
Dla zgorzkniałych, stronniczych i subiektywnych.

Opracowując ten arykuł w oparciu o miesięcznik hiszpański „Integral" Revista mensual, starałam się przybliżyć czytelnikowi Istotę Ducha w naszym codziennym życiu, szczególnie zaś w poszukiwaniu szczęścia, którego tak bardzo wszyscy potrzebujemy. Szczęścia, którego fundamentem jest zdrowie i dobre samopoczucie, gdyż jak powiedział E. Hemingway „Szczęście — to dobre zdrowie i zła pamięć" czego wszystkim serdecznie życzę.

GRAŻYNA BYCZUKOWA



cd. ze str. 19

TROJA

Wysuwane są różne hipotezy dotyczące Wojny Trojańskiej. Starożytni nie znali jej daty. Datowali ją w sposób pośredni, stąd duża rozbieżność od XIV do XII wieku pne. Ale po XII wieku niemożliwy był pochód Achajów na Troję. Upadła cywilizacja mykeńska; Mykeny Agamemnona i Pylos Nestora zostały zburzone. Wiemy, że realny Ilion odkopany na wzgórzu Hissarlik został spalony w połowie XI wieku pne. Nie mógł być wzięty szturmem przez Achajów, bo ich już wtedy nie było.

W historii Wojny Trojańskiej u Homera zlały się dzieje trzech różnych miast w północno-zachodniej Azji Mniejszej — Ilionu, Troi i Pergamu. Jeśli Achajowie nie zdobyli Ilionu i Pergamu, to może zdobyli Troję. U Homera gród sto razy nazywa się Ilionem, a tylko 50 razy Troją.

Kolonizacja grecka w rejonie Ilionu zaczęła się dość późno. Najpierw była w południowej części azjatyckiego wybrzeża Morza Egejskiego (Milet, Efez). W północnej części Grecy pojawili się w XI i X wieku pne. Ponownie podjęli kolonizację w VIII wieku. W czasie gdy powstawał poemat Homera zapomniano już o dawnych wyprawach achajskich. Realne wojny VIII w. potrzebowały ideologicznego wsparcia. Widziano ruiny starych miast. Stworzono więc legendę o dawnych wyprawach i wojnie, której nie było. Kroniki hetyckie mówią o jakimś królestwie zwanym Troją. Do tego nawiązali Grecy w VIII wieku pne.

W głębi lądu znajdowało się państwo Hetytów, które rywalizowało z ówczesnymi potęgami — Asyrią i Egiptem. Wydarzenia nad Morzem Egejskim nie mogły ujść ich uwadze. Źródła hetyckie wymieniają Ilion i Troję, ale brak wzmianki o wojnie trojańskiej. A może upadek Troi i państwa Hetytów nastąpił jednocześnie? Kto mógł pokonać taką potęgę — na pewno nie Grecy, którzy z małą Troją nie mogli sobie poradzić przez 10 lat. Na ruinach hetyckiego państwa powstała Frygia. Ilion był sojusznikiem Frygów, którzy przyszli znad Dunaju i podbili Hetytów. Mogli też zniszczyć Troję, do czego przyznawali się później Grecy.

ANDRZEJ MARKET

TRZY POSTACIE... JAK GAZ...

ELŻBIETA BOROŃ

W 1989 roku „rozwiązał się worek" z doniesieniami na temat UFO, pochodzącymi z terenu Związku Radzieckiego. Relacje nie ograniczały się jedynie do obserwacji „dziwnych świateł na niebie", czy też metalicznych obiektów obserwowanych w dzień. Dużą grupę doniesień stanowiły relacje, w których świadkowie wspominali o lądujących obiektach i pojawiających się w ich pobliżu dziwnych istotach. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż relacje tego typu napływają z całego świata. Wydaje się jednak, że po ponad 40 latach milczenia na temat NOL — temat ten był zakazany, gdyż oficjalne władze uznały, że UFO jest wymysłem i nie istnieje — ufolodzy radzieccy „przesadzili" w swej euforii, zaliczając do doniesień ufologicznych również relacje, które prawdopodobnie z UFO niewiele miały wspólnego — przynajmniej tak mnie się wydaje. Nie jestem specjalistką w tych dziedzinach, dlatego też osąd pozostawiam fachowcom i Czytelnikom, chciałabym jednak przytoczyć trzy relacje, które szczególnie mnie „uderzyły". Zaliczono je jako obserwacje i kontakty z NOL — czy jednak zasługują one na taką klasyfikację? Osądźcie sami...

„Pewnego razu — opowiada W. Piankow, psychiatra z Permu — poproszono mnie o pomoc jednej dziwnie chorej. Kobieta — stróż garaży samochodowych — doznała zaniku pamięci. Zbadałem ją przy świadkach. Okazała się być całkowicie zdrowym człowiekiem, ale błagała, aby nie pytać o to, co zdarzyło się z nią pewnego razu w pracy, ponieważ każda próba przypomnienia czegokolwiek błyskawicznie wywoływała u niej straszliwy ból głowy."

Chcąc poznać przyczyny tego dziwnego zachowania kobiety, Piankow za zgodą pacjentki wprowadził ją w trans hipnotyczny. Oto historia, którą usłyszał: „Stałam z psem u wejścia do garażu, kiedy o pierwszej w nocy nagle zauważyłam w górze czerwone światło. I wówczas ktoś zaczął ze mną rozmawiać. Zaśmiałam się z początku i powiedziałam: „Proszę wejść do garażu." Ale potem przestraszyłam się. Pies zachowywał się bardzo dziwnie, chwycił mnie za rękaw i zaczął ciągnąć do garażu. Stanęłam u wejścia... Znowu ktoś do mnie powiedział, a pytania od razu słyszałam w moim umyśle... Nagle pojawili się „oni" — trzy postacie, miały oczy, postacie były przeźroczyste jak gaz, ale widoczne. Pamiętam także, że ich zapytałam: „Nie jesteście ludźmi?" — „Tak, nie jesteśmy ludźmi, ale przyszliśmy do ciebie." — usłyszałam w odpowiedzi... Potem zaczęła się silna wibracja, wszystko się zatrzęsło, z głowy spadła mi futrzana czapka. Pomyślałam, że zaczynam chorować, albo że wariuję... W tym momencie straciłam przytomność, ocknęłam się po kilku godzinach w innym budynku, po drugiej stronie drogi. Pomyślałam: Czy to nie sen?"

Chociaż trudno w to uwierzyć, jest oczywiste, że tej nocy w garażu zdarzyło się coś niecodziennego. Ale czy musiało to być spotkanie z UFO?...

Nieznana jest data powyższego incydentu, chociaż pewne dane wskazują, że miał on miejsce w drugiej połowie lat 80-tych. Dokładniejsze dane posiadamy natomiast na temat drugiego przypadku, który chciałabym przytoczyć.

Dnia 26 czerwca 1989 roku około południa w mieście Lesozawodsk (okolice Władywostoku, Nadmorski Kraj, ZSRR — Daleki Wschód) wybuchła panika — po jego ulicach chodziła dziwna „istota". Oto co powiedziała E. W. Boldirewa: „Moja córka Oksana, wraz z koleżanką O. Chomicz wyszły z cyrku i ujrzały dziwnego „człowieka". Szedł on, a raczej płynął środkiem drogi, lekko dotykając nogami ziemi. Wydawał przy tym dziwny dźwięk — podobny do skrzypienia z popiskiwaniem. Dziewczęta stanęły jak sparaliżowane, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Istota przybliżyła się, podniosła rękę i przeciągnęła dłonią po swych szarosrebrzystych włosach, po czym powoli opuszczając rękę, ruszyła dalej. Na ziemi pozostały ślady koloru srebrzystego, które powoli znikały. Gdy istota była blisko, dało się zauważyć jakieś świecenie pochodzące od niej, dziewczynki odczuły także gorąco, a Oksanę rozbolała głowa. Gdy istota wyminęła dziewczynki, odzyskały one zdolność ruchu i pobiegły do autobusu. Gdy z niego wysiadły, ponownie ujrzały tę samą (lub taką samą) istotę. Szła ona w dalszym ciągu środkiem drogi, obracając głowę w prawo i w lewo, jak gdyby rozglądając się. Nagle na drodze pojawił się samochód, prowadzony przez młodego mężczyznę. Kierowca ujrzał istotę i przyhamował, ale stało się coś nieprzewidzianego. Istota zrobiła kilka kroków w jego kierunku i... samochód przejechał poprzez nią! Wystraszony kierowca zatrzymał pojazd po 15 metrach. Zarówno on (szczególnie jego włosy) jak i samochód, pokryci byli srebrzystym kolorem. W tym czasie zniknęły nogi istoty, przemieszczała się ona jednak dalej i dopiero na moście zniknęła cała sylwetka. Ślady istoty widoczne były jeszcze kilka minut, potem i one zniknęły."

Tyle pani Boldirewa. Zaznaczyć tutaj należy, iż dziewczynki nie były jedynymi świadkami obecności istoty, widziały ją dziesiątki mieszkańców Lesozawodska.

I ostatnia relacja, pochodząca również z terenu Nadmorskiego Kraju, tym razem z Dalniegorska. Głównym świadkiem zdarzenia w tym przypadku była pani K. (zastrzegła anonimowość), która mieszka wraz z mężem i dwojgiem dzieci w dwupokojowym mieszkaniu na parterze pięciopiętrowego domu. Oto co powiedziała ona W. Dwużylnemu z Dalniegorskiej Grupy Badań Zjawisk Anomalnych:

„24 grudnia 1988 roku po godzinie 18.00 wysłałam swoje dzieci, Piotrka (4 klasa) i Anię (5 klasa) do uniwersamu. Gdzieś za 30 minut rozległ się dzwonek w korytarzu. Otworzyłam drzwi i do przedpokoju weszły moje dzieci, ale dziwnie ubrane — w kombinezony koloru srebrzystego, a na głowach miały coś w rodzaju przeźroczystych hełmów. O tym, że były to moje dzieci nie wątpiłam — ich twarze, wzrost, kolor włosów i oczu nie pozostawiały żadnych złudzeń. Milcząc stały i patrzyły na mnie, przez cały czas nie powiedziały ani słowa i nie wydały żadnego dźwięku. Zaczęłam ich rugać — dlaczego tak długo byli w sklepie i nic nie kupili? I co to za przebieranka? Dzieci w milczeniu, nie zwracając na mnie uwagi, przeszły obok do pokoju. Ja za nimi. Podeszły do ściany, po prawej i zaczęły coś robić, jak gdyby fotografować — słychać było pstrykanie i ukazywały się błyski, jakby światło lampy błyskowej. Tak pstrykając i błyskając wiele razy obeszły cały pokój i stanęły przy drzwiach do przedpokoju. Podeszłam do nich bliżej i znów zaczęłam krzyczeć — dlaczego denerwujecie matkę?! Chwyciłam rurę od odkurzacza (który stał obok, gdyż właśnie robiłam sprzątanie) i zamachnęłam się na nie, chcąc je uderzyć. Nie pamiętam, czy je uderzyłam, gdyż nagle znalazłam się na podłodze. Szybko stanęłam — głowa silnie mnie bolała, a na czole pojawił się ogromny guz. Zaczęłam krzyczeć — matkę bijecie!? Stały milcząc i patrzyły na mnie jakoś dziwnie, ze złością, niedobrze. Poczułam, że coś tu jest nie tak, że to nie są moje dzieci. W tym momencie usłyszałam dzwonek i poszłam otworzyć drzwi — na progu stały moje dzieci z zakupami i ubrane normalnie. Patrzyłam na nie, niczego nie rozumiejąc, a potem powiedziałam im, że w pokoju są takie same dzieci jak i one. Moje dzieci rozbierając się stały i patrzyły na tamte „dzieci", a one patrzyły na moje. Potem tamte „dzieci" jednocześnie się odwróciły, poszły wzdłuż ściany w stronę okna i zniknęły, jakby się rozpłynęły."

Najszybciej z wrażenia ochłonęła Ania. Podeszła do telewizora i włączyła go, gdyż miał właśnie być nadawany ciekawy program. Na ekranie telewizora (kolorowy marki „Sławutycz") pojawiło się jasne, statyczne odbicie — obraz matki stojącej z odkurzaczem. Patrzyła na ten obraz przez około 5 sekund, a następnie zawołała matkę. „Patrz mamo, pokazują

UFOs in the USSR — Three persons like... gas...

cię w telewizji!" W czasie gdy pani K. szła do telewizora, obraz zaczął zanikać. Ania nic nie pojmując wyłączyła i zaraz włączyła ponownie telewizor — tym razem na ekranie widniał kolorowy obraz programu centralnej telewizji.

Analiza wszystkich okoliczności tego zdarzenia była przeprowadzona osobiście przez W. Dwużylnego, przy czym przed rozmową z naocznymi świadkami, zasięgnął on informacji u sąsiadów rodziny K., współpracowników i nauczycieli Ani i Piotrka. Wszystkie opinie były bardzo pozytywne, poza tym ustalono, że nikt z członków rodziny K. nie leczył się u psychiatry i nie zwracał się do takowego o pomoc.

Zdaniem Dwużylnego, zdarzenie to trzeba odczytać jako przekaz (materializacja) duplikatów dzieci pani K. przez obiekt znajdujący się w rejonie pobliskiej wieży telewizyjnej (Istnieją świadkowie, którzy o godz. 18,40 obserwowali potężny, dyskoidalny obiekt, wiszący nad stacją telewizyjną). Czarno-biały obraz (odbicie) na ekranie telewizora, było spowodowane silnym promieniowaniem elektromagnetycznym o długości fali ok. 21 cm, działającym na luminofor kineskopu. Luminofor „zapamiętał" obraz, a włączenie telewizora uwidoczniło go. Źródło promieniowania — „pseudodzieci", przekazało to, co było widać w pokoju, do obiektu bazy.

Wydarzenie z 24 grudnia 1988 roku pozostawiło ślad nie tylko w pamięci pani K. i jej dzieci, ale zostało również „utrwalone" przez meble w pokoju. W. Dwużylny prowadząc rejestrację opowieści pani K. na magnetofonie odkrył, że regał jest źródłem obcego promieniowania, co także utrwaliło się na taśmie magnetofonowej.

Czy obecność tajemniczego obiektu nad pobliską wieżą telewizyjną o godzinie 18,40 można bezspornie łączyć z wydarzeniami, które miały miejsce ok. 10 minut wcześniej (pani K. nie jest pewna godziny zdarzenia, podaje czas 18,30 w przybliżeniu) w mieszkaniu pani K.? Nie jestem o tym w pełni przekonana. Jako „dowód pośredni" niech posłuży incydent, który miał miejsce w Anglii, podczas którego nie ma mowy o żadnym obiekcie.

Dwóch oficerów policji śledziło dziwny — według nich — samochód marki „Jaguar". Zablokowawszy mu drogę ucieczki, jeden z oficerów wyszedł ze swego samochodu, podążając w kierunku „Jaguara", ale w chwili kiedy chciał zastukać w szybę prosząc kierowcę o okazanie dokumentów, samochód „rozpłynął" się w powietrzu...

■

Stawiający swoje pierwsze samodzielne kroki „Sfinks", ma za granicą starszego i bardziej doświadczonego brata. Jest nim niemieckojęzyczny miesięcznik „Esotera", wydawany we Freiburgu. Pismo to kolportowane jest także w Szwajcarii i Austrii.

„Esotera"

Gdyby chcieć przetłumaczyć tytuł na język polski okazałoby się, że **„Esotera" to pismo przeznaczone dla ludzi wybranych, wtajemniczonych, niedostępne dla ogółu** (gr. esoterikos = tajemniczy, tajny, dla wtajemniczonych). Tymczasem w rzeczywistości chodzi o to samo, czym zajmuje się „Sfinks", czyli wszelkie tajemnice świata, w którym żyjemy. Już pierwsze, pobieżne przekartkowanie „Esotery" może wprowadzić u nas pewne poczucie niższości. Doskonałej jakości papier, takiż sam druk, mnóstwo kolorowych zdjęć i blisko 100 stron objętości to tylko niektóre plusy tego pisma. Minusem, zwłaszcza dla polskiego czytelnika byłaby zapewne cena 7 marek co przy stosowanych u nas przelicznikach walut daje dość pokaźną sumę. Ale proszę się nie martwić. **Już od tego numeru postaramy się regularnie publikować przedruki co ciekawszych materiałów z „Esotery", na co uzyskaliśmy zgodę wydawców z Niemiec.**

A teraz trochę o zawartości pisma. Zakres tematyczny prezentowanych w nim materiałów jest bardzo szeroki. Całość uporządkowana jest w kilku działach. I tak **„Izoteryczne sposoby pomocy życiu"** to część poświęcona starym i najnowszym metodom medytacji. W ostatnich numerach znalazłem m.in. przybliżenie wywodzącej się z buddyzmu metody samopoznania „Naikan", zdobywającej sobie teraz coraz więcej zwolenników w Europie Zachodniej, teoretyczny artykuł o problemach medytacji z naukowego punktu widzenia, czy materiał o tajnikach ismakologii. Z kolei w dziale **„Nowe myślenie i działanie"** można przeczytać wywiady ze współczesnymi czarownicami (m.in. Amerykanką Miriam Simos, znaną w Stanach Zjednoczonych i nie tylko, pod imieniem Starhawk, ekofeministką i autorką książki „Kult czarów"), próby wyjaśnienia tajników chińskiego pisma czy też zaznajomić się z kulisami działalności mocno kontrowersyjnego (nawet dla redakcji „Esotery") hinduskiego guru, Osho „Bhagwana" Shree Rajneesha.

Dział zatytułowany **„Prawiedza ludzkości"** to próby zaznajomienia czytelników m.in. z tajemnicami budowy starych młynów, spotkania z indiańskimi znachorami i szamanami plemion Afryki (m.in. Siuksów z Ameryki Północnej i Zulusów z Republiki Południowej Afryki). Jest także część poświęcona problemom zdrowia, a w niej m.in. o ludowej medycynie stosowanej na Wyspach Kanaryjskich, próbach naukowego wyjaśnienia „uroków" rzucanych przez czarownice, tajnikach muzykoterapii stosowanej przez amerykańskiego naukowca dr Johna Diamonda itp. A pomiędzy tym wszystkim mnóstwo reklam najnowszych wydawnictw książkowych o tematyce ezoterycznej, bogaty dział korespondencji z czytelnikami, informacje o różnych kursach, seminariach, wystawach, wizytach ludzi słynących ze swoich paranormalnych talentów. W sumie — jest co czytać.

Ta krótka laurka wcale nie oznacza jednak, że „Sfinks" jest pismem gorszym. Wręcz przeciwnie, śmiem twierdzić, że w niektórych sprawach nawet lepszym od bogatszego i bardziej doświadczonego w zmaganiach ze „światem pełnym tajemnic" kolegą z zagranicy. Możemy chyba w tym miejscu obiecać naszym czytelnikom, że będziemy starali się nadal udoskonalać „Sfinksa" (również przy pomocy „Esotery"), co powinno już w niedalekiej przyszłości przynieść zadowalające wszystkich rezultaty.

A na zakończenie, zgodnie ze złożoną wcześniej obietnicą, zamieszczamy opracowanie jednego z ciekawszych artykułów, zamieszczonych w dziale „Paranormalne wizje" „Esotery", o amerykańskim specjaliście od parapsychologii, który przepowiedział zburzenie berlińskiego muru i tworzy pierwszy w świecie bank danych o wydarzeniach, które dopiero czekają ludzkość.

(W.Kmita)



OGIEŃ OSWOJONY

dc. str. 5

warstwę ochronną — być może — tworzy warstewka plazmy biologicznej występującej blisko powierzchni ciała. W ten sposób chyba należałoby interpretować zjawisko opisane przez dr. Ochorowicza, obserwowane przez niego w latach 1909-1911 podczas eksperymentów ze Stanisławą Tomczykówną. Będąc w stanie głębokiej hipnozy Tomczykówna zbliżała rękę do płomienia, który odsuwał się od niej, jakby odpychała go niewidzialną warstewką otaczającą dłoń.

— Bardzo interesujące są te teorie, ale czytelnicy „Sfinksa" z pewnością chcieliby dowiedzieć się czegoś o praktyce. Czy my, zwykli ludzie, nie przechodzący żadnego szkolenia, możemy „igrać z ogniem"?

— Chętnie służę instruktażem. Jeśli chcemy na wakacjach zorganizować sobie chodzenie po ogniu, musimy przede wszystkim starannie przygować sobie ognisko. Podłoże musi być twarde, a nie może to być grząski piasek. Drewno musi być w grubych klocach, najlepiej o średnicy ramienia dorosłego mężczyzny. Stos takiego drewna należy naraz podpalić, żeby część nie spaliła się na biały popiół, podczas gdy reszta została tylko osmalona płomieniem. Gdy pozostanie już kupa czerwonego żaru, należy ją rozgarnąć żelaznymi grabiami lub innymi narzędziami o bardzo długich trzonkach, aby węgielki tworzyły cienką warstwę. Stopy nie mogą się zapadać w żarzących się węglach! Nieopodal ogniska należy zwilżyć ziemię, by w tym miejscu była chłodniejsza niż dookoła.

A teraz instrukcja dla chętnych do chodzenia boso po żarze: po pierwsze — wchodząc na żar nie wolno myśleć o innych sprawach. Trzeba myśleć tylko o tym, co się robi. To właśnie daje ochronę przed gorącem. Nie rozglądać się na boki! Nie oglądać się za siebie! Mieć uwagę skupioną na swoich stopach, które stąpają po ogniu! Punkt drugi — przed wejściem na ogień trzeba poczuć chłód pod stopami. Można to osiągnąć wyłącznie za pomocą wyobraźni, a można także jej pomóc — przed wejściem na ogień depcząc przez chwilę po ziemi zwilżonej i dzięki temu chłodniejszej, smakując chłód pod stopami. Punkt trzeci — należy zawsze zacząć chodzenie po ogniu od przejścia zaledwie paru kroków, ścinając koło po małej cięciwie; znów poczuć chłód pod stopami i znów wejść w ogień — tym razem przechodząc dłuższą drogę. Należy stawiać drobne kroczki, nie podrzucać kolan. Nie skakać, lecz chodzić!

— A jak zabrać się do tego, co oglądałam u Piotra?

— I tu instruktaż nie jest zbyt skomplikowany. Należy zaopatrzyć się w kasetę magnetofonową z nagraniem Synchro-Theta-2 „Anastenaria" produkowaną przez Warsztaty Psychotroniczne Athanor. Należy przesłuchać to nagranie z zamkniętymi oczami, od początku do końca. Potem odwrócić kasetę — po drugiej stronie znajduje się to samo nagranie po to, aby nie trzeba było cofać taśmy. Słuchać po raz drugi. Gdy skończy się muzyka dzwonów i chór braminów śpiewających Mantrę, gdy zaczyna się muzyka transowa, należy popić zimnego płynu wyobrażając sobie jak ręka staje się zimna, jej temperatura spada coraz bardziej, dłoń staje się zimna, bardzo zimna... zupełnie bez czucia...

Potem należy podmuchać na opuszkę palca wskazującego, żeby poczuć tam chłód i na sekundę przytknąć czubek żarzącego się papierosa. Jeżeli stwierdzimy, że nie spowodowało to oparzenia, możemy teraz posunąć się o krok dalej. Znów podmuchajmy na opuszkę palca, aby uczuć na niej chłód. Teraz można wziąć palącego się papierosa pomiędzy kciuk a palec wskazujący: koniec żarzący się pod palec wskazujący, a filtrem w stronę kciuka. Jest to możliwe przez 2-3 sekundy. Można też podmuchać na palec na całej długości, po czym płomieniem zapalonej zapałki wolno wodzić wzdłuż palca. I w tym przypadku nie sparzymy się.

— Ale nie róbmy takich eksperymentów bez należytego przygotowania, „na wariata". W takim przypadku możemy odczuć skutki doświadczenia bardzo dotkliwie!

Z psychotronikiem Lechem Emfazym Stefańskim rozmawiała Iwona Kozieł



ADMINISTRATOR JEDNEJ DOBY

dc. ze str. 17

mogąc się nachwalić nowego nabytku. Jakież było nasze zdziwienie, gdy końmi z Miedzychodu — stangretem był stary Walenty — bez uprzedzenia telefonicznego, jednodniowy administrator znalazł się na obiedzie znów w Cichowie. Robił wrażenie człowieka przerażonego. Oto co nam opowiedział: Dzień był upalny, a noc nader duszna, z dala słychać było grzmoty. Późnym wieczorem położył się do łóżka. Przed sobą miał okno zamknięte i zasłonięte, ale w ścianie przy łóżku okno było otwarte i nie zasłonięte. Młody człowiek czytał jakąś książkę przy lampie naftowej (w Miedzychodzie nie było elektryczności), a sama powieść kryminalna pasjonowała go, nie dając zasnąć. Z dala na podwórzu — odległym o 200 metrów od dworu — słychać było od czasu do czasu poszczekiwanie bardzo ostrych psów, które nie wpuszczały na podwórko, ani do parku nikogo obcego. Mimo to — ku swemu zdumieniu — administrator usłyszał czyjeś kroki na żwirze zajazdu. Kroki zbliżały sią wyraźnie pod otwarte okno, przeto czekał on na podejście stróża, który zapewne chciał coś zameldować. Jednakże zamiast stróża, wdrapując się na okno i chwytając rękoma parapetu ukazał się siwy człowiek z olbrzymią czupryną i z monoklem w oku; od monokla zwisał złoty łańcuszek wpięty w guzik kamizelki. Ów pan, nie speszony bynajmniej zaskoczonym wzrokiem administratora wszedł do pokoju i stanął w nogach łóżka, opierając się o wysoką poręcz i patrząc uważnie w oczy administratora. Ten spytał, nader ostrym głosem: — Co się dzieje, o co chodzi? — nieco zdumiony bardzo porządnym ubiorem owego pana, który nie był ani włodarzem, ani stróżem, ani fornalem. Przybysz nie odezwał się ani słowem, tylko jeszcze bardziej wbijał wzrok w administratora, który poczuł nagły przypływ strachu, zmieniający się w przerażenie, gdy bez słowa człowiek ten tak samo jak wszedł, tak samo wyskoczył przez okno; znów słychać było szelest żwiru. Administrator zerwał się z łóżka, aby zobaczyć gdzie podążył nocny gość, ale w pochmurnej nocy, ani przy błyskawicy nie było go widać. Ubrał się i ruszył na podwórze docierając do stróża, który ostrzeżony trzymał psy na uwięzi.

Opowiedział mu co zaszło. — Z monoklem? — spytał stróż całkiem spokojnym głosem — To nasz dawny pan Sczaniecki, od którego dziedziczka w czasie wojny światowej odkupiła Miedzychód. On tu często nocą przychodzi i ogląda jak się powodzi gospodarstwu. MY się jego nie boimy i kłaniamy się grzecznie, na co nam zawsze odkiwnie głową, ale nic nie mówi. Opowiadającemu to młodemu administratorowi wciąż jeszcze trzęsła się broda, co utrudniało zrozumienie jego słów. Mimo uspokajających słów mamy i namowy, aby wrócił, oświadczył, że nie wróci tam „za żadne skarby" i cieszy się, że nie telefonował, aby mu przysłano jego rzeczy, bo wróci do Poznania tak jak stoi.

Pożegnał się prędko i odjechał najbliższym pociągiem. Jego następca, pan Jazdon, przez wiele lat administrowania Miedzychodem, nigdy nie spotkał się z niczym podobnym.

Leon Bukowiecki

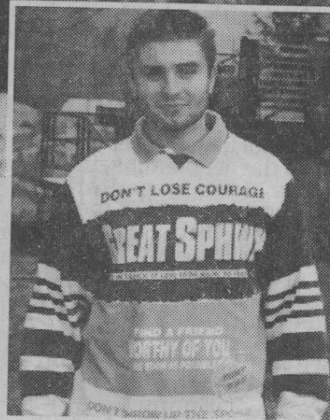
Protagonista dell'incontro ravvicinato un giovane di 23 anni, Giuseppe Giacomelli. Un ragazzo tranquillo, operaio in una verniciatura di occhiali, amico di tutti in paese. La notizia e la foto che la documenta se l'è tenuta per sè cinque mesi. E probabilmente non avrebbe parlato se, informato dall'astrofilo calaltino Antonio Iafrate, non l'avesse convinto l'ufologo Antonio Chiumiento, che all'avvistamento di Calalzo ha dato credito assoluto.

Era un pomeriggio dello scorso ottobre, lo stesso periodo in cui il sindaco di S. Nicolò, Giancarlo Ianese, e la figlia Cristina ripresero con la telecamera una sfera luminosa sulle pendici del monte Zovo. Giuseppe stava lavorando sul terrazzo di casa, vicino alla chiesetta del Caravaggio. Alzando lo sguardo vide un oggetto nel cielo. «Pensai ad un deltaplano o a un parapendio - racconta - perché non ho sentito alcun rumore di motore. Poi, fissandolo meglio, ho notato la forma circolare. L'oggetto avanzava lentamente, era di colore grigionero, ho visto distintamente nella parte superiore del disco una cupola più grande e in quella inferiore tre più piccole. Ho pensato di fotografarlo e sono corso in casa a prendere la mia Polaroid. Quando sono tornato sul terrazzo il disco era ancora là ed ho scattato la foto. Ho controllato che stesse uscendo e, quando ho guardato nuovamente in cielo, il disco non c'era più».

Giuseppe Giacomelli racconta questo strano evento con la normalità di un testimone attendibile. E le sue parole trovano conferma nella foto. Nella valletta tra Calalzo e Rizzios, verso la Val d'Oten e le Marmarole, a Giuseppe Giacomelli è capitato di vedere ancora due volte quel giorno l'oggetto volante. Un'ora dopo, alle 17.30, quando l'ha notato più in basso, verso la Molinà, illuminato da una luce bianca, visibilissima al calare delle prime ombre. E a mezzanotte, una grande sfera di luce bianca che si è diretta verso le Marmarole e poi, con una virata improvvisa verso l'alto, è sparita nella notte.

Giuseppe ha tentato di fotografarla ancora. Nella foto all'imbrunire il disco luminoso è visibile tra le cime degli abeti. Egli non è un appassionato di fotografia. «Ho la Polaroid perché posso vedere subito le foto». Men che meno potrebbe essere un contraffattore al computer. «Non so nemmeno come si usi un computer». Gli danno credito i genitori, anziani pensionati, gli amici di Calalzo cui ha fatto vedere l'eccezionale istantanea. Ma hanno ritenuto l'episodio degno di essere raccontato a tutti gli italiani i giornalisti di «Verissimo», il programma pomeridiano di Canale 5, saliti a Calalzo ad intervistare Giuseppe Giacomelli; il servizio andrà in onda oggi alle 17.45. Giuseppe, con i piedi per terra, continua a guardare in cielo. «Non ho più visto nulla, e non ho paura».

Lucio Eicher Clere



Qui sopra: l'immagine scattata da Giuseppe Giacomelli. A destra: il giovane che ha «catturato» l'oggetto con la macchina fotografica. A sinistra: la troupe di «Verissimo» ieri pomeriggio a Calalzo.

Il Gazzettino di Belluno 8-4-98

3201G2

«Un'i…
Non…

Calalzo

(le) «Lo sc… vincia di B… un picco n… di Ufo». An… to, profess… ne, uno d… massin… esperti in It… lia in ufol… gia, segu… con attenzi… ne di ricerc… tore ogni c… so che gli ve… ga propost… per un esam… di attendibi… tà. E l'avvist… mento di Giu… seppe Giac… melli lo h… colpito. «I… 21 anni - dic… - questo è … caso fotogra… fico più imp… sia capitato… diurna chiar… cuna possi… considerata … gio o una c… Chiumiento… dagine accu… stamento d… ne conferma… «La testimo…

Misteri ESPERIENZE ESTREME

Test dell'Agenzia italiana
Gli encefalogrammi a bordo della Stazione Iss definiranno un primo modello per nuovi studi

"Quei lampi bianchi in cabina ci hanno alterato il cervello?"

Decine di astronauti vittime del fenomeno dei "light flashes"

DAVID AVINO

Appaiono all'improvviso nella penombra, mentre fluttuando ad occhi chiusi si cerca di dormire. Hanno la forma di una striscia bianca o di una stella molto luminosa.

«Ero nel sacco a pelo, legato ad una parete dello shuttle - racconta Christer Fuglesang, astronauta dell'Agenzia Spaziale Europea - quando all'improvviso ho visto un bagliore, un flash che è poi svanito in un istante».

Fu Buzz Aldrin che per primo raccontò di aver osservato degli strani lampi nel modulo di comando dell'Apollo. E nelle successive missioni lunari tutti i membri dell'equipaggio diedero la caccia ai «fosfeni», i misteriosi lampi di luce, registrando flash ogni 2-3 minuti.

All'inizio degli Anni 70 una commissione di esperti della Nasa affermò che si trattava di particelle ad altissima energia che, interagendo con l'apparato visivo, venivano percepite come bagliori di varie forme e dimensioni. Da allora molti ricercatori si sono lasciati incuriosire dal fenomeno e diversi esperimenti si sono susseguiti sulle navicelle spaziali, sulla stazione russa Mir e sulla Stazione Spaziale Internazionale, l'Iss. Ma l'enigma rimane inso-

L'IPOTESI
«Potrebbero essere l'unica possibilità di vedere davvero le particelle elementari»

I RAGGI COSMICI
E' ancora controverso se interagiscano con il nervo ottico e la corteccia visiva



Una realtà ancora inspiegabile

I TESTIMONI
(dallo studio dell'astronauta Christer Fuglesang su un campione di 59 colleghi)

Chi ha osservato i lampi prima di addormentarsi nello spazio 90%

Chi li ha visti durante la permanenza nello spazio 80%

GLI ESPERIMENTI DELL'ASI

«ALTEINO»

Principal Investigator:	Marco Casolino (INFN)
Astronauti controllati:	1
Durata totale sessioni:	7 ore e 41 minuti

dal campo magnetico terrestre, che scherma buona parte dei raggi cosmici. Ma che cosa succederebbe in missioni di lunga durata sulla Luna o durante un viaggio verso Marte?

«Nelle lunghe permanenze in assenza di peso i lampi di luce potrebbero anche far scattare la piscosi da "particelle assorbite" - osserva Casolino - anche se non si è ancora trovata alcuna relazione tra le radiazioni assorbite dagli astronauti e i flash osservati. Ma non bisogna sottovalutare anche gli errori che i lampi potrebbero generare nella lettura della strumentazione di bordo in fasi critiche della missione».

Per il professore Livio Narici dell'Università di Roma Tor Vergata «i lampi di luce sarebbero la punta dell'iceberg di un processo non ancora noto, che potrebbe avere rischi per la salute dell'astronauta.

GLI INCIDENTI
Molti i casi insoluti di distacco della retina e abbassamento della vista al ritorno dallo spazio

RISCHIO PSICOSI
Le «visioni» improvvise

ni», i misteriosi lampi di luce, registrando flash ogni 2-3 minuti.

All'inizio degli Anni 70 una commissione di esperti della Nasa affermò che si trattava di particelle ad altissima energia che, interagendo con l'apparato visivo, venivano percepite come bagliori di varie forme

L'IPOTESI

«Potrebbero essere l'unica possibilità di vedere davvero le particelle elementari»

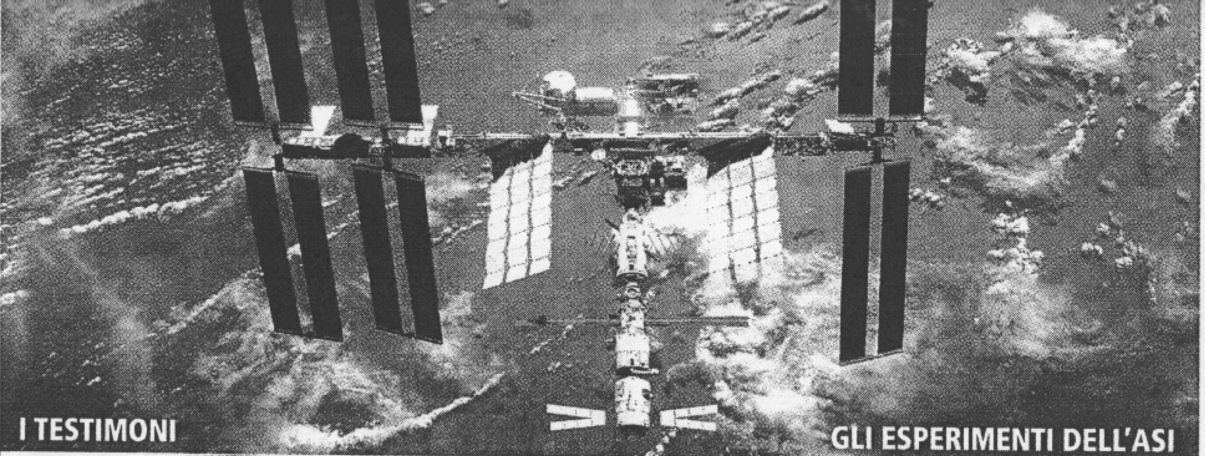
I RAGGI COSMICI

E' ancora controverso se interagiscano con il nervo ottico e la corteccia visiva

e dimensioni. Da allora molti ricercatori si sono lasciati incuriosire dal fenomeno e diversi esperimenti si sono susseguiti sulle navicelle spaziali, sulla stazione russa Mir e sulla Stazione Spaziale Internazionale, l'Iss. Ma l'enigma rimane insoluto: sono ancora ignoti i meccanismi che generano i «light flashes» e non si conoscono i danni che possono provocare al sistema visivo o a quello cerebrale.

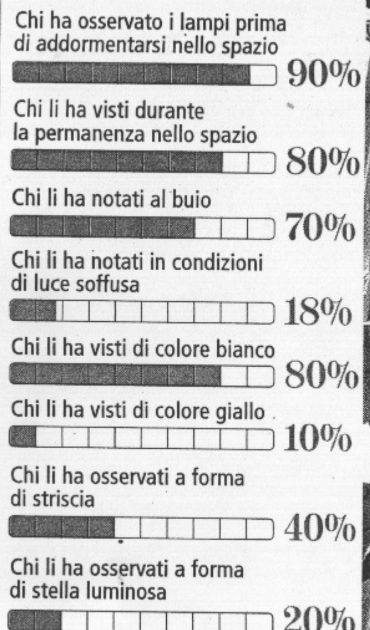
Fuglesang ha raccolto le testimonianze di 59 astronauti, scoprendo che l'80% ha osservato i flash durante la permanenza nello spazio, soprattutto in condizioni di penombra, poco prima di addormentarsi. Qualcuno ha anche raccontato di essere stato svegliato di soprassalto, nel cuore della notte, ma nessuno ha correlato i lampi di luce ad altri eventi come la stanchezza e l'affaticamento.

Marco Casolino, ricercatore dell'Istituto Nazionale di Fisica Nucleare, studia il fenomeno dai primi Anni 90 e spiega che «la percezione dei fosfeni è molto soggettiva: vi sono astronauti particolarmente sensibili, in grado di osservare i "light flashes" anche alla luce, mentre altri non ne hanno mai notato uno». Aggiunge che «i lampi di luce sono l'unico fenomeno fisico con cui l'uomo possa realmente "vedere" le particelle elementari senza l'ausilio di strumenti».

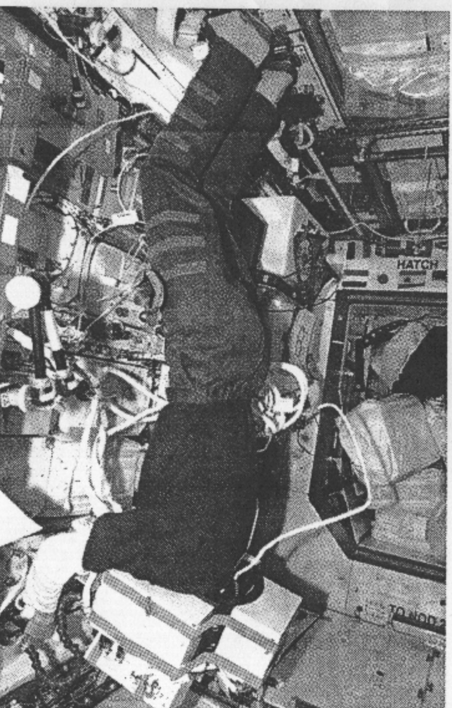


I TESTIMONI

(dallo studio dell'astronauta Christer Fuglesang su un campione di 59 colleghi)



Chi ha osservato i lampi prima di addormentarsi nello spazio	90%
Chi li ha visti durante la permanenza nello spazio	80%
Chi li ha notati al buio	70%
Chi li ha notati in condizioni di luce soffusa	18%
Chi li ha visti di colore bianco	80%
Chi li ha visti di colore giallo	10%
Chi li ha osservati a forma di striscia	40%
Chi li ha osservati a forma di stella luminosa	20%



GLI ESPERIMENTI DELL'ASI

«ALTEINO»

Principal Investigator:	Marco Casolino (INFN)
Astronauti controllati:	1
Durata totale sessioni:	7 ore e 41 minuti
Lampi osservati:	44
Tempo medio tra un lampo e l'altro:	ogni 10,5 minuti

«ALTEA»

Principal Investigator:	Livio Narici (Università di Roma Tor Vergata)
Astronauti controllati:	3
Durata totale sessioni:	6 ore e 54 minuti
Lampi osservati:	20
Tempo medio tra un lampo e l'altro:	ogni 20,7 minuti

Ma quanto sarà salutare?

La commissione della Nasa, un po' frettolosamente negli Anni 70, concluse l'inchiesta escludendo implicazioni per la salute degli astronauti. Ma ancora oggi non si è scoperto se i raggi cosmici - le particelle che viaggiano ad alta velocità nello spazio - interagiscano con il nervo ottico, la corteccia cerebrale visiva, il bulbo oculare o con la retina. E non si conoscono gli effetti che hanno sul sistema nervoso.

Analizzando i dati medici di astronauti statunitensi che hanno partecipato alle missioni più recenti, sorge il dubbio che i lampi di luce e la microgravità possano essere le concause di alcune loro patologie visive. Negli ultimi anni, infatti, si sono registrati due distacchi e una bruciatura della retina, un'ulcera corneale, tre cataratte e l'abbassamento della vista di astronauti che sono rimasti a lungo nello spazio.

E se i raggi cosmici andassero anche a disturbare altri organi o altre regioni del cervello? Due astronauti hanno sofferto di un'improvvisa perdita dell'udito. E se nello spazio, oltre ai flash, si avvertissero anche strani odori e misteriosi rumori? Tanti interrogativi a cui gli scienziati cercano la risposta.

Alle basse orbite terrestri, a bordo dello shuttle e della Stazione spaziale, gli astronauti sono protetti

«Nelle lunghe permanenze in assenza di peso i lampi di luce potrebbero anche far scattare la piscosi da "particelle assorbite" - osserva Casolino - anche se non si è ancora trovata alcuna relazione tra le radiazioni assorbite dagli astronauti e i flash osservati. Ma non bisogna sottovalutare anche gli errori che i lampi potrebbero generare nella lettura della strumentazione di bordo in fasi critiche della missione».

Per il professore Livio Narici dell'Università di Roma Tor Vergata «i lampi di luce sarebbero la punta dell'iceberg di un processo non ancora noto, che potrebbe avere rischi per la salute dell'astronauta.

GLI INCIDENTI

Molti i casi insoluti di distacco della retina e abbassamento della vista al ritorno dallo spazio

RISCHIO PSICOSI

Le «visioni» improvvise potrebbero alterare la lucidità durante i viaggi per Marte

Ma, finché non si scoprono le interazioni che danno luogo al fenomeno, tali rischi non potranno essere valutati».

Narici e il suo team sono al lavoro su «Altea», un esperimento finanziato dall'Agenzia spaziale italiana, che mette in relazione la percezione dei lampi con un elettroencefalogramma e un apparato per la misurazione dei raggi cosmici. «Per la prima volta si possono misurare singole particelle che danno luogo ai lampi di luce e le risposte elettrofisiologiche ad esse associate». L'astronauta, a bordo della Stazione spaziale internazionale, indossa un elmetto e, quando percepisce un lampo di luce, spinge un pulsante, mentre la macchina registra le particelle che passano attraverso occhi e cervello e le funzioni cerebrali. Dall'analisi dei dati raccolti Narici e il suo team pensano di essere vicini alla definizione di un primo modello di interazione.

Basterà a fare luce sul mistero o serviranno altri lampi di genio?

